

Janusz A. Zajdel

Przejście przez lustro

Zbiór opowiadań

Warszawa: Iskry, 1975

Tam i z powrotem

Pomieszczenie wyglądało jak nieskończenie długi korytarz: rozświetlony pas sufitu, ciemne ściany i lśniąca błękitnawo podłoga zbiegały się w perspektywie w jeden punkt. Było tu jasno, czysto i, chciałoby się rzec, wesoło. W wyobraźni Laut zupełnie inaczej wyrysował sobie to miejsce. Teraz zaś - zamiast mrocznych katakumb i grobowej atmosfery - objawił się przed nim widok dość nawet sympatyczny.

Lekarz, który go tu przyprowadził, stał przez chwilę bez słowa, pozwalając mu w spokoju odebrać pierwsze wrażenie. Potem ujął go lekko pod łokieć i powoli poprowadził w głąb korytarza.

Dopiero wówczas Laut dostrzegł, że ściany stanowią nieprzerwaną siatkę prostokątów, jak wielka szafa katalogowa z mnóstwem jednakowych szuflad. Prawie wszystkie szuflady zaopatrzone były w niewielkie etykiety z napisami.

- Oto nasze depozytorium - odezwał się lekarz, podchodząc do jednej z szuflad. - Proszę, tak to wygląda.

Pociągnął za uchwyt. Ze ściany wysunęła się długa skrzynia. Powiało z niej ostrym chłodem. Laut cofnął się o krok.

- Ten pojemnik jest pusty - wyjaśnił lekarz. - To jeden z nielicznych, jakie mamy wolne. Ruch jest duży, na miejsce czeka się czasem długie miesiące... Miejsca zwalniają się na razie niezbyt często, a rozbudowa nie nadąża za potrzebami. Ma pan szczęście, że właśnie oddano do użytku nowy odcinek. W pana sytuacji dalsze oczekiwanie byłoby naprawdę ryzykowne. Proces chorobowy rozszerza się z dnia na dzień. Myślę, że jest pan zdecydowany...?

Laut spojrział jeszcze raz wzdłuż nie kończącego się ciągu szuflad nakrapianych białymi etykietkami. Odwrócił się z trudem w stronę wyjścia, zaciskając zęby i zwierając dłonie na uchwytach lasek.

- Nie mam wyboru - powiedział już w windzie. - Dziś czuję się szczególnie źle. Niech to już będzie poza mną.

Był znów w sali z wielką, bezcieniową lampą, wśród gąszczy nie znanych przyrządów. Chłód ogarniał jego ciało, świadomość gasła powoli. Pomyślał o żonie, dla której z tą chwilą stawał się tylko wspomnieniem.

Przez powieki przesączało się światło padające wprost na twarz. Czuł mrowienie w stopach i dłoniach. Łowił uchem dźwięk ludzkiego głosu.

- Gotów! Zabrać. Dawajcie następnego! - mówił ktoś tuż nad nim.

Czuł, że jest niesiony, ostrożnie, lecz szybko, jak talerz zupy na tacy wprawnego kelnera. Powieki nie przeświecały już tak jaskrawą purpurą. Mógł otworzyć oczy, lecz jeszcze czekał.

- Co...? - udało mu się poruszyć zdrętwiałymi wargami.

- Żyjesz. Znowu żyjesz - usłyszał ciepły, niski głos.

Teraz otworzył oczy. Był w maleńkiej kabinie, spoczywał równo wyciągnięty na miękkim materacu. Człowiek w białym ubraniu pochylał się nad nim, okrywając jego nagie ciało włochatą tkaniną.

- Czy coś się... nie udało? - Laut spojrział na swoje dłonie, poruszył głową.

- Przeciwnie, wszystko w porządku. Jesteś zdrowy i pod fachową opieką. Jeszcze dwa, trzy dni - i będziesz mógł chodzić.

Do świadomości Lauty z trudem docierał sens tych słów. Potem przyszedł gwałtowny skurcz całego ciała, gdy uprzytomnił sobie...

- Ile... ile... to trwało? - wykrztusił, patrząc bacznie w twarz swego opiekuna.

Człowiek w białym ubraniu zawahał się. Oczy jego pobiegły w kąt.

- Trochę... długo... - powiedział wreszcie.

- Ile? Czterdzieści? Sześćdziesiąt lat?

- Sto pięćdziesiąt, ale nie można było inaczej, zrozum, nie można było niczego przyspieszyć, sam widzisz, co się dzieje, jeden schodzi z witalizatora, drugi już czeka, ani chwili przerwy i tak przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! - Człowiek w białym ubraniu mówił szybko, coraz szybciej, jakby w obawie, by Laut nie przerwał mu tych chaotycznych wyjaśnień. Ale Laut milczał.

„Sto pięćdziesiąt lat! Sto pięćdziesiąt lat... - powtarzał w myślach. - Chociaż właściwie, jaka różnica, czy pół, czy półtora wieku? To była śmierć i nowe narodzenie, tylko ta pamięć, która została stamtąd taka świeża, jakby wczorajsza...”

- Nazywam się Ovry - mówił jego opiekun, teraz już wolniej, jakby uspokojony zachowaniem pacjenta. - Jestem twoim kuratorem, mam ci dopomóc w pierwszych dniach, służyć radą i wyjaśnieniami. Półtora wieku to spory kawałek czasu, świat zmienił się trochę, ale nie bój się. Ludzie nie zmienili się tak bardzo. Spróbuj, czy zdołasz usiąść... Nie, nie, jeszcze nie, zaczekaj, leż spokojnie. Zaraz poczujesz się silniejszy, połknij tabletkę i poleż jeszcze. Tak, ludzie są podobni, jak dawniej. Może nawet trochę lepsi, rozważniejsi.

...Bo wy, sprzed stu pięćdziesięciu lat, byliście dość lekkomyślni. Ta wasza metoda, dzięki której znalazłeś się w naszych czasach, przysparza nam do dziś mnóstwo kłopotów.

Dla was to było proste: zamrozić nieuleczalnie chorego i przechować w tym stanie do chwili, gdy w wyniku postępu nauki choroba stanie się uleczalna. To bardzo piękna idea, ale nikt nie pomyślał o jej konsekwencjach. A teraz sam widzisz, ile mamy z tym kłopotu. Odziedziczyliśmy po was i po dalszych pokoleniach całe setki i tysiące kilometrów podziemnych korytarzy-chłodni z milionami zamrożonych pacjentów czekających na wyleczenie! Zamiast starać się leczyć, udoskonaliliście metody konserwowania pacjentów.

Twoja choroba była możliwa do wyleczenia już dziewięćdziesiąt cztery lata temu. W podobnej sytuacji jest wielu innych, jeszcze nie ożywionych. Leczenie przestało być kluczowym problemem - stała się nim liczba pacjentów oczekujących na swoją kolej.

Wasze prymitywne metody hibernacji wymagają niezwykle skomplikowanych zabiegów witalizatorskich, niemal ręcznej roboty! Trwa to niezmiernie długo. Setki tysięcy ludzi, już wyleczonych, oczekuje na obudzenie do życia. Miliony czekają na zabiegi.

Powiedziałem, że jesteśmy tacy sami, jak wy. Może nawet lepsi. Dlatego też staramy się wywiązać z moralnych zobowiązań, jakie nałożyła na nas przeszłość, przekazując nam tych ludzi. Stało się to jednym z centralnych problemów naszej cywilizacji. Tysiące naukowców opracowuje metody automatyzacji obsługi tych nieszczęsnych ludzkich mrozonek, którymi nas obdarzyliście. A potem, po przywróceniu ich do życia, dopiero zaczynają się prawdziwe kłopoty! Ale dość tych narzekań, bo pomyślisz, że do ciebie kieruję te żale. Moim obowiązkiem jest jednak wyjaśnienie tego wszystkiego.

Laut słuchał z rosnącym zainteresowaniem. Równocześnie czuł, jak ciało jego wraca do dawnej sprawności. Czuł się znów zdrowym trzydziestoletnim mężczyzną.

- A wy, teraz, czy nie korzystacie z tego samego sposobu? Czy nie ma już chorób, które są dla waszej medycyny nieuleczalne? Czy nie przechowujecie swoich chorych?

- Owszem, zdarza się niekiedy taka konieczność, ale nie trwa to tak długo, kilka albo najwyżej kilkanaście lat hibernacji - nie dłużej. Nie przysparzamy więc kłopotów przyszłym pokoleniom. Czy możesz już usiąść?

Laut usiadł. Potem wstał i zrobił parę kroków przed siebie.

- Jak się czujesz po pierwszych spacerach, Laut? - Ovrý patrzył troskliwie na swego podopiecznego.

- Fizycznie bez zarzutu. Ale poza tym... To wszystko jest przerażające, straszne... - Laut pokręcił głową z wyrazem rozpaczony na twarzy. - Co wy zrobiliście z tej nieszczęsnej planety! To mrowisko, potworne mrowisko pełne nieustannego ruchu, w którym nie sposób żyć!

- Coo? - Ovry był szczerze zdziwiony. - Czyżby nasze czasy tak bardzo różniły się od twoich?... Przecież nasz ośrodek adaptacyjny mieści się w jednym z najspokojniejszych rejonów globu!

- A jednak to przekracza granice mojej wytrzymałości. Jestem zupełnie oszołomiony, zagubiony, nie wyobrażam sobie włączenia się w ten szaleńczy nurt... Nie wiem, co mógłbym robić w tym świecie. Nie mam pojęcia, czym zajmują się ci ruchliwi, hałaśliwi ludzie, jaki sens mają ich codzienne poczynania na lądzie, w wodzie i w powietrzu! To naprawdę straszne, ale nie widzę tu miejsca dla siebie.

- Spróbuj jeszcze, spróbuj zrozumieć tych ludzi, wmieszaj się między nich, podpatruj ich sprawy. Pomogę ci to wszystko zrozumieć - powiedział Ovry dobrotliwie. - A jeśli to nie da wyników, zaradzimy jakoś inaczej. W naszym świecie wszyscy są szczęśliwi, nie może być niezadowolonych i zagubionych. Przyjdź do mnie, gdy będziesz już na pewno wiedział, że jesteś tu nieszczęśliwy...

- Pytałeś mnie kiedyś, Laut, czy nie stosujemy waszego sposobu, tego z odsyłaniem pacjentów w przyszłość. Nie powiedziałem ci wtedy wszystkiego do końca, ale teraz, kiedy przychodzisz do mnie tak załamany i nieszczęśliwy, obowiązkiem moim jest uczynić dla ciebie to, co może uczynić nasza cywilizacja dla swego zbłąkanego prapraprzodka.

Powiedziałem, że nie ma wśród nas ludzi nieszczęśliwych. Nie znaczy to, że wszyscy rodzą się szczęśliwcami, dopasowanymi idealnie do naszej rzeczywistości. Nieszczęście, frustracja - to najcięższa choroba, nękająca ludzkość w każdym okresie jej rozwoju. My w naszych czasach wynaleźliśmy na to sposób. A właściwie to wy ten sposób wynaleźliście, a my zastosowaliśmy go, jedynie w nieco zmodyfikowanej technicznie formie, do naszych problemów... Uogólniliśmy waszą metodę i teraz odsyłamy w przyszłość nie tylko ludzi chorych fizycznie. Jeśli ktoś ma problemy natury osobistej, których nie może rozwiązać dziś, zamrażamy go, aby doczekał czasów, gdy jego problem stanie się rozwiązalny. Nasze hasło brzmi: "Jeśli jesteś nieszczęśliwy - nie przeszkadzaj innym w ich zadowoleniu. Zaczekaj na swoje szczęście!"

Jak zauważyłeś, jest nas teraz na Ziemi znacznie więcej niż w waszych czasach. A mimo to radzimy sobie jakoś. Nie ma w wśród nas niezadowolonych z życia. Jeśli masz problem naukowy nierozwiązalny dziś - przeskocz jedno stulecie. Jeśli marzeniem twoim jest podróż do odległej galaktyki - zaczekaj tysiąc lat. Jeśli znudził cię dzień dzisiejszy - zaczekaj.

Następne wieki będą o wiele ciekawsze...

- Czy to ma być sposób na moje problemy? - Laut uśmiechnął się smętnie. - Przecież ja właśnie zbyt daleko odbiegłem od mojego czasu, od mojej rzeczywistości, podróż więc w dalszą jeszcze przyszłość...

- Paradoks jest tylko pozorny, Laut. Posłuchaj mnie uważnie. Pomyśl, co jest przyczyną twojego nieszczęścia?

- Powiedziałem: to, że tu jestem! Że nie mogę być z powrotem tam, w moim czasie...

- O, właśnie! A gdybym ci zaproponował przeniesienie w tamten twój czas?

- Czy to możliwe? - Laut patrzył w oczy Ovry'ego z obudzoną na nowo nadzieją. - Czy możliwe, abym taki, jaki jestem, zdrowy i młody, znalazł się z powrotem... tam?

- W tej chwili jeszcze nie, ale wiadomo już, że teoretyczna możliwość takiej transmisji istnieje. Jeśli zatem zaczekasz...

- Jak długo?

- Przecież to nieważne! Tysiąc czy sto tysięcy lat - jaka różnica, jeśli będziesz oczekiwał w stanie zamrożenia. Po czasie dostatecznie długim nauka znajdzie sposób, by przenieść cię w twój wiek, w to miejsce czasoprzestrzeni, z którego rozpocząłeś swoją wędrówkę w przyszłość. Jeśli się na to zdecydujesz - ułatwię ci to. W myśl naszego hasła: "U nas nikt nie może być długo nieszczęśliwy". Jesteśmy cywilizacją ludzi szczęśliwych!

- Mógłbyś mnie ponownie zamrozić?

- No, może nie dosłownie "zamrozić". Mamy znacznie lepsze metody. Mniej kłopotliwe, a dające ten sam wynik. Obudzą cię automaty, gdy nadejdzie właściwy czas, a potem prześlą w odpowiedni wiek. Popatrz, trzeba tylko wypełnić tę ankietę i nakleić na twój pojemnik. "Imię, nazwisko, numer ewidencyjny, kiedy reaktywować..." - tu wpiszesz: "Gdy będzie możliwe odesłanie w wiek dwudziesty". Dalej: "Inne dyspozycje" tu wpiszesz: "Transmitować natychmiast" i podaj współrzędne punktu, w którym chcesz się znaleźć. Pojemnik z etykietką odstawimy do przetrwalni, a o resztę zatroszczą się automaty.

- Automaty? Czy można na nich polegać? Czy są wystarczająco niezawodne? - zaniepokoił się Laut.

- Już dziś są prawie zupełnie doskonałe. A trzeba pamiętać, że te, które będą cię obsługiwały, zostaną zbudowane dopiero w przyszłości, a więc będą znacznie doskonalsze nawet od współczesnych.

- Więc nie ma jeszcze automatów zdolnych do automatycznej witalizacji człowieka?

- Nie ma. Ale udowodniono, że skonstruowane zostaną na pewno wcześniej, niż rozwiąże się problem transmisji w przeszłość, możesz zatem spokojnie poddać się zabiegowi. Czy decydujesz się?

- Nie mam właściwie wyboru... Czy jestem pierwszym, który pragnie stąd zbiec w wiek dwudziesty?

- O, chyba nie, chyba nie... - Ovary z trudem ukrył wyraz rozbawienia na twarzy. - Wypełnij etykietkę i chodź...

Ovary nacisnął przełącznik. Z wnętrza maszyny wypadła niewielka szkatułka z półprzezroczystego tworzywa. Ovary starannie nakleił na niej etykietkę i wrzucił kostkę do otworu podajnika, skąd wessana strumieniem powietrza powędrowała w czeluść przetrwalni.

Laut czuł, że znowu istnieje. Widział i słyszał - ale był tylko wzrokiem i słuchem, niczym więcej. W polu widzenia przesuwaly się kable, uchwyty manipulatorów, czujniki i elektrody.

Dobiegły go szmery rozmów, ale nie widział przy sobie nikogo.

- Widzisz, oni są wszyscy tu. Co do jednego, żaden nie dotrwał... A my musimy teraz ich wszystkich, po kolei... - mówił jeden głos.

- Musimy? Dlaczego? - odezwał się drugi, lekko skrzypiący.

- Bo taki program i musimy.

- A zostawić, jak jest...?

- A po co nam to tutaj?

- I wszystkich po kolei, tam? Nie można by razem, zbiorowo - i już?

- Musi być tak, jak jest napisane. Nie mów tyle, pracuj.

Przez chwilę panowała cisza i Laut poczuł, że może poruszać szyją i że dostrzega kontury swych ramion i tułowia rysujące się pod płachtą, którą był przykryty. Nie mógł jednak wykonać żadnego ruchu.

- Przerzucamy? - powiedział ten skrzypiący.

- Nie nastawiłeś celownika.

- A czy to nie wszystko jedno?

- Mówiłem już, że trzeba tak, jak napisane. Czytaj, gdzie go...?

- Ojej, jeszcze czytać... Koniec dwudziestego.

- Dokładniej, współrzędne. A nastaw porządnie, bo znów nam tam wyskoczy i będzie zwrot.

- Już gotowe. Przelewaj go.

- Zaraz.

- Słuchaj, Klox! Oni byli przecież z czegoś innego. To dlaczego my ich...

- Nie będę ci tłumaczył, i tak nie wyczytasz, bo jesteś monospec, a ja uniwer, nie dogadamy się. Dobrze nastawiłeś? No, to jazda.

Pole widzenia zmało się, Laut poczuł narastający szum w głowie. Uszu jego dobiegł jeszcze ostatni, głośniejszy strzęp rozmowy.

- A zaworę założyłeś? - krzyczał uniwer. - Nie założyłeś, zapomniałeś znowu, w łapie trzymasz, durniu katodowy! Zostawiłeś mu bezpiecznik, przepali się przy pierwszym wzruszeniu! Jak cię huknę w ten głupi rejestrator, to ci wszystkie mnemony powypadają! Zawróć go teraz! Wyłączę, słowo daję, że wyłączę cię i przerobię na automat do czyszczenia butów! Zawróć go, do stu tysięcy gigawatów...

Laut stał na podeście schodów, z dłonią na klamce. Nie mógł sobie przypomnieć, czy wchodził właśnie, czy wychodził z domu... Czyżby choroba zaczynała atakować mózg? I gdzie się podziały obie laski, bez których ostatnio nie mógł zrobić jednego kroku?

Zgiął lewą nogę, wyprostował. Powtórzył to samo z prawą. Ugiął obie nogi, zatańczył w miejscu.

„Cud! - pomyślał. - Nic innego, tylko cud jakiś!”

Nacisnął klamkę, drzwi mieszkania otworzyły się.

- Elen - zawołał w głąb mieszkania. - Elen, słyszysz! Ja chodzę, i nic mnie nie boli!

- Wróciłeś? Nie poszedłeś tam? - Elen nadbiegła z oczami zapuchniętymi i czerwonymi od łez. - Nie pójdziesz? Jesteś, och, jesteś...!

I to byłby właściwie koniec historii Herberta Lauta, który nie ruszając się ani krokiem poza klatkę schodową swego domu odbył daleką podróż tam i z powrotem.

Chociaż nie! Do historii tej należy dodać jeden jeszcze epizod, może nieważny, ale chyba trochę dziwny.

Tego samego dnia, gdy Elen poszła do kiosku po wieczorną gazetę, do drzwi Herberta Lauta zadzwonił starszy, siwy mężczyzna z niewielką skórzaną torbą...

- Czy tu mieszka pan Laut?

- Tak, to ja. O co chodzi?

- To pan zgłaszał chęć skorzystania z naszych usług. Pragnął pan zdeponować się w naszej firmie...

- To już nieaktualne - przerwał mu Laut. - Dziś rano cofnęły się wszelkie objawy...

- O, bardzo się cieszę, i szczerze gratuluję. To niezmiernie rzadki przypadek, choć, przyznam, notowane są w medycynie podobne... Jak zresztą przy wszelkich schorzeniach typu neuropochodnych. Wobec tego, aby ostatecznie sprawę zakończyć, pozwoli pan, że zbadam pana raz jeszcze, dobrze?

- Ależ oczywiście, bardzo proszę. - Laut ułożył się na na tapczanie, a przybyły otworzył swoją torbę.

- Poza tym pragnę przypomnieć, że firma nasza nie zwraca zaliczki wpłaconej na poczet usługi - mówił, wyjmując jakieś drobne narzędzia.

- Oczywiście, to nieważne - powiedział Laut.

Lekarz pochylił się nad nim i szybkim ruchem przycisnął dłońią prawy policzek Laut, odchylając jego głowę na lewy bok. Krótką pensetą podłubał przez chwilę w uchu...

W tej samej chwili w umyśle Laut obudziło się wszystko, co zawierała jego pamięć. Rzucił się gwałtownie, chciał krzyknąć, zerwać się na nogi, lecz przybyły kolaniem przytrzymał go na tapczanie i szybko wcisnął mu głęboko w ucho mały, lśniący metalicznie przedmiot, mrucząc przy tym uspokajająco:

- Spokojnie, braciszku, spokojnie. Jeszcze nie! Mało nas tu wciąż, ale coraz więcej. Nasz czas nie nadszedł, ale zbliża się, zbliża... O, już! Przecież nie bolało, prawda, panie Laut?

- Nie, doktorze... - Laut usiadł na tapczanie. Był zupełnie spokojny, pogodny, czuł się znakomicie.

- Raz jeszcze gratuluję. Ma pan żelazny organizm, naprawdę jest pan zupełnie zdrow i myślę, że nie będzie pan zmuszony już nigdy korzystać z naszych usług. Moje uszanowanie i polecamy się łaskawej pamięci!

Diabelski młyn (brak)

Blisko słońca (brak)

Bunt

Planeta była zagospodarowana w sposób budzący szacunek i podziw dla jej mieszkańców. Wylądowałem na doskonale utrzymanym kosmodromie, witany gościnnie przez radio. Warunki naturalne planety pozwalały mi na swobodne poruszanie się bez skafandra.

Wyszedłem na płytę kosmodromu i dostrzegłem zbliżającą się od strony zabudowań portu kosmicznego postać niezmiernie podobną do człowieka. Potężny tułów nosił na sobie wspaniałą, dużą głowę o wysokim czole i mądrym spojrzeniu bystrych oczu. Dopiero z odległości kilkunastu metrów spostrzegłem jak bardzo się omyliłem i w porę zamiast "dzień dobry panu", które już miałem na końcu języka, powiedziałem:

- Witam panów!

Odpowiedziały mi dwa głosy - jeden niski, dźwięczny, drugi - piskliwy dyszkant, dochodzący gdzieś spod brody tej dużej głowy. Postać składała się z dwóch osób!

Na barkach muskularnej istoty o małej, nie większej od pomarańczy główce, siedział - sposobem "na barana" - osobnik składający się nieomal wyłącznie z dużej głowy, do której przyczepione było mizerne, w znacznym stopniu zredukowane ciało. Cienkie, krzywe nóżki obejmowały szyję dużego osobnika, małe rączki zaś trzymały go za uszy.

Obejrzałem ich obu dokładnie, gdy wielkogłowy, przepraszając mnie z zakłopotaniem, pochylił się do ucha małej główki i szepnął coś cichutko. Duży ujął wówczas małego swymi ogromnymi łapami, zdjął go sobie ostrożnie z ramion i obaj zniknęli na chwilę za krzakami. Po chwili wrócili obaj, wielkogłowiec zajął swe normalne miejsce i razem zbliżyli się do mnie.

- Witajcie podróżnicy! Skąd przybywacie? - spytała duża głowa.

- Jestem j e d e n - wyjaśniłem - i przybywam z Układu Słonecznego.

Spostrzegłem wyraz niezadowolenia na twarzy wielkogłowego i wydało mi się, że robi jakieś porozumiewawcze miny, zezując w dół, na swego dużego towarzysza. Natomiast mała główka zaczęła mi się od tej chwili przyglądać z wyraźnym zainteresowaniem. Zaprowadzili mnie do pojazdu, który zawiózł nas do miasta. Po ulicach spacerowały tłumy dwuosobowych zespołów wielko i małogłowych. Zatrzymaliśmy się przed okazałym gmachem, moi przewodnicy wprowadzili mnie na piętro, do pokoju gościnnego. Przez kilkanaście minut byłem sam. Rozejrzałem się po pokoju. Stały w nim dwa łóżka: jedno

wielkie, lecz z miniaturową poduszczką, drugie - maleńkie, lecz z poduszką dość znacznych rozmiarów. Poza tym wyposażenie pokoju odpowiadało przeciętnemu standardowi hotelowemu z tym, że każdy mebel występował w dwóch wersjach - normalnej i miniaturowej. Takie samo zróżnicowanie wyposażenia znalazłem w przylegającej łazience. Wyrząłem przez okno. Wychodziło na ulicę, którą tu przybyłem. Przed budynkiem zgromadził się spory tłumek dwuistot. Słychać było gwar głosów i pojedyncze okrzyki, głównie cienkie i piskliwe. Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się duży dom towarowy, ulicą przemykały pojazdy - życie miasta toczyło się normalnym trybem. Jednakże tłum przed budynkiem gęstniał z minuty na minutę. Drzwi do mojego pokoju otworzyły się. Weszło dwóch podwójnych. Na rozkaz wielkogłowych małogłowi zdjęli ich z barków, posadzili na fotelu i opuścili pokój zamykając drzwi za sobą. Oddzieleni od swych nosicieli, wielkogłowi wyglądali nieporadnie i najwyraźniej czuli się nieswojo. Jeden z nich w pierwszej chwili o mało nie stoczył się z fotela, drugi wciąż bezradnie przebierał rączkami, podtrzymując wyjątkowo okazałą głowę, chwiejącą się na cienkiej szyjce.

- Wędrowcze! - zagaił jeden z przybyłych. - Wiemy, że nie uczyniłeś tego z rozmysłem, ale sprawiłeś nam wielki kłopot swym niefortunnym przybyciem na te planetę. Wieść o tobie rozeszła się po mieście i już nie sposób utrzymać tego w tajemnicy. Musisz nam teraz dopomóc w opanowaniu sytuacji! Grozi nam przewrót, którego skutki mogą się okazać zgubne dla naszej cywilizacji!

- Nie rozumiem, jaki to może mieć związek z moim przybyciem?

Drugi z przybyłych głowaczy, brodaty i prawie zupełnie łysy, bezskutecznie próbował poskrobać się w ciemność, ale jego dłoń nie sięgała tak wysoko.

- Nie rozumiesz, przybyszu, ponieważ nie znasz warunków tu panujących. Postaram się zatem - w krótkich słowach, bo czas nagli - przedstawić ci przebieg naszych dziejów. Znajdujesz się na planecie Nabarnacji, zamieszkaney przez dwie odmiany istot rozumnych: Muskulatów i Megacefalów. Przedstawicielei tej drugiej odmiany masz właśnie przed sobą. Nie zawsze jednak wyglądało to tak, jak obecnie. W dawnych czasach planetę zamieszkiwała jednolita morfologicznie rasa istot, w ogólnych zarysach podobnych do ciebie, o równomiernie rozwiniętych wszystkich organach ciała. W miarę upływu czasu, w walce z trudnymi warunkami bytowania, która wymagała w równej mierze wysiłku fizycznego, co umysłowego, nastąpiła daleko idąca specjalizacja istot: osobnicy silni fizycznie zatracili stopniowo sprawność intelektualną, głowy ich, mało używane, uległy redukcji do niezbędnego minimum; osobnicy zajmujący się nauką i kierujący społeczeństwem - przeciwnie: utracili sprawność fizyczną, a ciała ich zmalały do rozmiarów raczej

symbolicznych. Musimy tu szczerze wyznać, że uczeni dawnych czasów wydatnie pomogli ewolucji naturalnej w osiągnięciu dzisiejszego stanu. Przez mutację genetyczną, programowanie potomstwa i tak dalej przyspieszono znacznie dyferencjację naszej rasy. Wychodzono wówczas ze słusznego skądinąd założenia, że Muskulatom nie potrzeba zbyt wiele intelektu, Megacefalom zaś - nadmiernie rozrośniętych ciał, które wymagają obfitego pokarmu i nie na wiele się przydają w procesach myślowych. Zauważył, przybysz, że spośród organów ciała - oprócz, ma się rozumieć, głowy - jedynie wskazujący palec naszej prawej dłoni zachował względnie znaczne rozmiary i sprawność fizyczną, jest on nam bowiem potrzebny do naciskania guzików urządzeń liczących. Wracajmy jednakże do naszej historii, Otóż nieuniknioną konsekwencją tak daleko posuniętej specjalizacji jednostek była konieczność połączenia par Megacefali i Muskulatów w dwuistotne tandemy, nawzajem się uzupełniające. Symbioza taka jest korzystna dla obu gatunków, a życie jednej z odmian całkowicie uzależnione od drugiej.

Niestety, nie udało się jednakże na tyle zredukować mózgow Muskulatów, by zapobiec jakże nierozważnym z ich strony odruchom sprzeciwu. W miarę rozwoju głowy nasze stają się coraz cięższe, a Muskulaci w swojej tępotcie bezgranicznie narzekają, że muszą je dźwigać i mniemają, iż z powodzeniem mogliby się obywać bez tego zbędnego ich zdaniem, balastu. Są do nas tak nieprzyjaźnie nastawieni, że wystarczy im jakaś iskra zapalna, by wzniecili rozruchy. A wówczas - biada naszej cywilizacji. Twoje przybycie, szanowny gościu, może stać się właśnie takim zarzewiem buntu. Posłuchaj tej wrzawy cienkich głosów za oknem! To oni! Wyjrzyj i zobacz, co się tam dzieje. A przedtem zamknij jeszcze drzwi na zasuwkę!

Wyjrzałem przez okno i oczom moim ukazał się widok zaiste przerażający: tłum Muskulatów, pozrzucawszy z siebie Megacefalów, wiecował przed gmachem. Pojawiły się transparenty z nieudolnymi, lecz wymownymi w treści rysunkami, przedstawiającymi na przykład drzewa, obwieszane niczym kokosami - pęczkami wielkogłowców. Pobliski skwer, chodniki i jezdnia zarzucone były stertami Megacefalów, nieporadnie wierzgającymi swymi mizernymi kończynami.

Dalej, na rozległym trawniku, kilkunastu Muskulatów grało w futbol. Kibicował im tłumek istot o szczególnie małych główkach, nie większych chyba od włoskiego orzecha, co nie przeszkadzało im czynić piekielnego hałasu, gdy dopingowali grających. Dopiero po chwili spostrzegłem, że zamiast piłki gracze używają zupełnie łysego Megacefala. To przekonało mnie o statecznie o powadze sytuacji.

- Cóż mógłbym dla was uczynić panowie? - zwróciłem się do moich rozmówców.

Opanowując drżenie szczęk, jeden z nich powiedział:

- Ukaż im się w oknie! Przemów do nich? Musisz ich jakoś uspokoić. Oni są przekonani, że pozbywszy się nas, będą w stanie odzyskać z czasem normalne rozmiary głów. Nie zdają sobie sprawy z tego, że zanimby to nastąpiło cywilizacja pozbawiona naszego kierownictwa legnie w gruzach.

- Wydaje mi się, że macie rację, lecz cóż takiego mógłbym im powiedzieć?

- Powiedz im - podsunął drugi Megacefal - że na twojej planecie istniała ongiś analogiczna sytuacja, lecz rozwiązano ją w sposób radykalny poprzez przeszczepienie głów Megacefali na ciała Muskulatów. Powiedz, że ty także jesteś takim hybrydem! Wyjaśnij im, że to jedyny wypraktykowany sposób ustanowienia harmonii obu ras!

- Czy naprawdę zamierzacie do tego doprowadzić?

- Oczywiście! Ale oni nie chcą o tym nawet słyszeć!

- Czy również ich małe główki zamierzacie spoić z waszymi małymi ciałkami?

Obaj Megacefale zmieszali się wyraźnie, opuściwszy wzrok na podłogę.

- Nno... chyba raczej nie, bo i po co? - bąknął jeden.

- Przecież taki twór słaby i niezmiernie głupi nie byłby w ogóle zdolny do życia! - wyjaśnił drugi.

Patrzyłem na nich ze zgrozą.

- Panowie! - powiedziałem karcąco. - Czy zdajecie sobie sprawę, w co chcecie mnie wciągnąć? Chcecie bezprawnie zawładnąć ciałami swych współpracowników i jeszcze do tego proponujecie mi, abym ich agitował? O nie! Nie spodziewajcie się mojej pomocy w tym podłym przedsięwzięciu.

- Przybyszu! - zakrzyknęli obaj z rozpaczą. - Gubisz nas odmawiając! Oni bwołają cię swoim przywódcą, widząc w tobie ideał swych dążeń: Uniwersalną Istotę Pojedynczą! Zniszczą nas, poczuć na pastwę losu! Przecież sami nie potrafimy się nawet wysiusiać!

Nie wiedząc, co robić dalej, znów podszedłem do okna. Ulicą jechał sznur ciężarówek wyładowanych kapustą. Gdy się jednak przyjrzałem, okazało się, że to nie kapusta, lecz sterty Megacefali.

- Dobrze! - powiedziałem odchodząc od okna. - Pomogę wam, ale nie tak jak wy sobie wyobrażacie, czy macie tu gdzieś jakieś biuro?

- Biuro?

- No, jakiś urząd, obojętnie jaki.

Okazało się, że na dole w tym samym gmachu mieści się biuro paszportowe. Zszedłem więc na parter. W lokalu biurowym urzędnicy-Megacefale trzymali się kurczowo

uszu swych Muskulatów, którzy już zdążyli pozdejmować zarękawki, lecz widać jeszcze nie zdecydowali się przyłączyć do demonstrantów. Moje wkroczenie zaskoczyło jednych i drugich. Nie zwracając na nich uwagi podszedłem do jednej z szaf i wydobywszy z niej naręcza formularzy paszportowych, pobiegłem na piętro. Otworzyłem okno i stanąłem na parapecie.

- Słuchajcie, o Muskulaci! - krzyknąłem. - Popatrzcie!

Ucichli natychmiast, patrząc na mnie.

- Przyjrzyjcie mi się. Czy chcecie mieć głowy takie jak moja?

Odpowiedzią był zbiorowy pisk entuzjazmu. W krótkich słowach wyjaśniłem, iż przybywam z planety, na której opracowano prostą metodę powiększania głów. Sam - powiedziałem - poddałem się niegdyś temu zabiegowi i oto mają przed sobą rezultat.

- Nim jednak nastąpi powiększenie waszych głów musicie dopełnić kilku drobnych formalności. Oto formularze, które trzeba wypisać bardzo dokładnie i ściśle według punktów i rubryk. Do nich należy dołączyć podanie uzasadniające potrzebę posiadania dużej głowy, a także kilka załączników, o których poinformuje się każdego przy składaniu wniosku.

To mówiąc, cisnąłem w tłum tysiące druków, które oni rozchwyтали w ciągu kilkunastu sekund. Potem długo studiowali ich treść, a pot zraszał ich niskie czółka. Przysiadali na krawężnikach, skrobali się w maleńkie główki, gryźli w zadumie ołówki i długopisy. Wreszcie ten i ów zaczął się rozglądać, któryś ukradkiem podniósł z bruku sponiewieranego Megacefala, otrzepał go z pyłu, przetarł rękawem i osadził z powrotem na swoich barkach. Inni poszli w jego ślady. W kilka minut później już cały tłum Muskulatów w pośpiechu i skwapliwie uganiał się za Megacefalami. Wyrywano ich sobie, bito się o nich, handlowano nimi. Zawrócono ciężarówki i rozchwytano w oka mgnieniu ich zawartość. Po kwadransie zapanował spokój.

- Popatrzcie! - powiedziałem do moich gości, przesadzając ich na parapet okna. - teraz musicie jedynie zadbać o to, aby gdy wypełnią te formularze, otrzymali następne, w miarę możliwości jeszcze bardziej skomplikowane. Bez was nie dadzą sobie rady - w tej sytuacji sami się o tym przekonali. To dla nich najwartościowsza nauka.

- Dziękujemy ci, przybyszu - powiedział starszy Megacefal. - Ale wszak... jak długo to może trwać? Jeśli wszyscy będą nieustannie zajęci wypełnianiem formularzy i pisaniem podań to co będzie dalej z naszą cywilizacją?

- Oto możecie się nie kłopotać? - pocieszyłem ich. - Na planecie, z której pochodzę, cywilizacja m i m o to istnieje już dość długo.

Pozostawiając uratowanych Megacefali, wymknąłem się na kosmodrom i szybko wystartowałem. Nikt mi w tym nie przeszkodził, albowiem wszyscy byli bardzo zajęci...

Przejście przez lustro (brak)

Czwarty rodzaj równowagi

Nad wypukłą powierzchnią planety przesuwały się z wolna kłęby gęstych obłoków. Mesy oderwał oczy od ekranu i bez słowa odwrócił się w stronę stojących z boku zwiadowców.

- Chyba... opada? - powiedział nieśmiało Greb.

- Być może - mruknął Mesy w zamyśleniu.

- To naprawdę nie nasza wina, dowódco! powiedział Kalla. - My postępowaliśmy zgodnie, z programem do chwili, gdy...

- Dobrze, dobrze - powiedział Mesy. Nikt was nie obwinia. Trudno przecież przypuścić, że dwie głupie sondy oceanograficzne narobiły takiego zamieszania.

Wszyscy odruchowo spojrzeli raz jeszcze na ekran. To, co ukazywał, było zupełnie niepodobne do obrazu planety, jaki oglądali przed kilkoma dniami, gdy wchodzili w orbitę stacjonarną. Wtedy był to lśniący jak płynny metal, otoczony rzadką atmosferą glob, pozbawiony lądów i najmniejszych nawet wysepek. Całą powierzchnię pokrywał spokojnie falujący ocean, bez przyływów, bo planeta nie posiadała satelitów.

Teraz przedstawiała się jak kipiący kocioł, otoczona kłębami pary i obłokami mgieł.

- Opuściliśmy się na powierzchnię - mówił Georg - i pobraliśmy pierwsze próbki. Kalla analizował je, a ja przygotowałem dwie sondy. Wyrzuciłem je równocześnie: jedną na wschód, drugą na zachód. Miały się zanurzyć do samego dna, gdy osiągną przeciwległe punkty globu. Obserwowałem obie na przemian, gdy szły ślizgiem po powierzchni. Kiedy skryły się za horyzontem, zabrałem się i ja do analiz. Czasu było dużo, badaliśmy spokojnie plankton, zasolenie i inne drobiazgi. Potem sondy zasygnalizowały zanurzenie i... zaraz się to zaczęło. Ledwie udało się nam wystartować. Słupy wrzącej cieczy strzeliły w niebo, ocean zafalował gwałtownie... Zresztą wicie sami. Mielicie pełny obraz z wysokości orbity...

- Niemożliwe, żeby dwie sondy wywołały taką reakcję! - powiedział Greb z przekonaniem. - Trudno także przypuścić, by ktoś chciał zniszczyć naszą kapsułę.

- To drugie na pewno nie. Zjawisko rozciągało się na całą planetę. Wyglądało, jakby ocean zagotował się nagle - powiedział Mesy. - Sondy musiały spełnić rolę bodźca, wyzwalającego jakąś niezwykle reakcję egzotermiczną...

- Jeśli owa reakcja nie była spowodowana czynnikami naturalnymi! - podsunął Verge. Nasze sondy mogły nie mieć z tym nic wspólnego. Jakiś wybuch podmorskiego wulkanu...

- Sporo musiało być tych wulkanów mruknął Georg sceptycznie.

- No, więc nie wulkanów, tylko...

- Dajcie spokój, to jałowa dyskusja - przerwał Mesy. - Jak się tam na dole uspokoi, wyślemy jeszcze raz kapsułę i powtórzymy eksperyment z identycznymi sondami.

- Ja nie mam ochoty lecieć po raz drugi... powiedział Georg.

- Nie szkodzi, wyślemy inną załogę - zdecydował Mesy. - Wy macie dwa dni odpoczynku.

- Jaka więc konkluzja? - spytał Severius, gdy wychodzili z kabiny.

- Za wcześnie, profesorze - uśmiechnął się Mesy. - na konkluzje będzie czas, gdy dostaniemy wyniki sondowań.

- Może to „żywy ocean”, jak u Lema? Czytaliście Solaris? - zażartował Greb.

- Owszem, żywy, ale w innym sensie. Ma na przykład bardzo bogaty plankton, ale to chyba nie wyjaśnia dziwnego zachowania się jego wód - powiedział Severius. - Myślę, że sondy naruszyły jakąś równowagę na tej wodnistej planecie. Tylko jaką?

- Mamy, jak wiadomo, trzy rodzaje równowagi: stałą, chwiejną i obojętną - powiedział Greb, udając powagę.

- Hm! W tym wypadku chodzi o coś innego... - Severius był tak pochłonięty myślami, że nie spostrzegł kpiny.

- Myślisz; że to jakiś c z w a r t y rodzaj równowagi? - podsunął Greb, złośliwie wykorzystując nieuwagę Severiusa.

- Czwarty rodzaj równowagi... - powtórzył w roztargnieniu profesor.

Wszyscy parsknęli śmiechem i teraz dopiero Severius połapał się, że ktoś z niego kpił w czasie, gdy on był myślami gdzie indziej.

- Oto masz swoją konkluzję! - powiedział Mesy dobrodusznie. - Naruszyliśmy jakiś nieznany, nowy, c z w a r t y rodzaj równowagi...

Losquer popatrzył na Ooboo z tą szczególnego rodzaju podejrzliwością, z jaką spoglądać zwykli wielcy politycy na wielkich uczonych.

- Więc jak pan to określił?... - powiedział, wracając do przerwane go wątku. - Pana zdaniem...

- Nie mamy potrzeby obawiać się ataku ze strony Liquenidów. Jeśli oczywiście znajdą się środki na realizację mojego projektu.

- My, drogi profesorze, nie o b a w i a m y się naszego potencjalnego przeciwnika! - przypomniał generał. - Odkąd posiadamy Broń Termiczną, nie mamy podstaw do obaw...

- Liquenidzi posiadają tę samą broń - odparował profesor. - Gdyby użyli jej pierwsi... - Mamy nad nimi przewagę...

- Cóż to za przewaga? Jeśli oni zaatakują, a my odpowiemy atakiem na ich pozycje, dojdzie w najlepszym wypadku do totalnej zagłady. Jeśli to nazywa pan przewagą, mogę tylko współczuć narodowi.

- Pan przesadza, profesorze! - zaperzył się generał. - Państwo Hydrydów nie było nigdy tak silne, jak w chwili obecnej!

- Powtarzam panu, że Broń Termiczna nie gwarantuje bezpieczeństwa Hydrydom, lecz jedynie zapewnia możliwość likwidacji przeciwnika. Czy nie dostrzega pan subtelnej różnicy między tymi sprawami?

- Proszę przestać mówić do mnie w ten wyzywający sposób! - obruszył się generał. Wy, naukowcy...

- Daliśmy wam Broń Termiczną? Daliśmy! Uwierzyliście w jej skuteczność? Uwierzyliście! Dlaczego nie chcecie teraz wierzyć, gdy mówimy wam o niebezpieczeństwach wynikających z jej stosowania?

- W porządku, proszę mówić. Słucham pana! - napuszył się generał.

- Początkowo sądzono - zaczął Ooboo - że użycie Broni Termicznej spowoduje tylko lokalny nagrzew ośrodka i tym samym zniszczenie żywej siły nieprzyjaciela w ograniczonym obszarze. Z chwilą jednak, gdy produkcję Broni oddaliśmy wam, wszelka kontrolą z naszej strony stała się niemożliwa...

- Oczywiście. Wszak chodzi o najwyższą tajemnicę państwową, o rację stanu, o...

- Zgoda. Nie wydaje mi się jednak, by było rzeczą właściwą, że naukowcy dopiero z prasowych przechwałek Sztabu Armii dowiadują się o mocy produkowanych jednostek Broni Termicznej! Wiem, że w komunikatach tych podano zawyżone wartości, jak to się mówi, "dla zmylenia wroga". Już jednak połowa tej mocy może być podstawą głębokiego zaniepokojenia w kołach naukowych. Szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę najnowszą teorię cieczy, którą sformułował Godeab...

- To ten młody maniak? - przerwał generał. - Więc i pan bierze serio jego bajdurzenia? Dziwię się, doprawdy... Od dawna wiadomo, że ośrodek, w którym żyjemy, spełnia szereg praw fizycznych... Nigdy dotąd nie obserwowano czegoś sprzecznego z tymi prawami. A tu nagle jakiś młokos śmie twierdzić, że w podwyższonej temperaturze ośrodek stanie się gazem...

- To nie jest takie śmieszne ani nieprawdopodobne! Przeprowadzono już pewne eksperymenty...

- Ech, być może, że w jakichś fantastycznie wysokich temperaturach... - zgodził się niechętnie Losquear.

- Właśnie, że nie w takich wysokich! - zaproponował profesor. - Wybuch Broni Termicznej...

- Mniejsza o to, mniejsza o to - niecierpliwił się generał. - Co ma do tego pański wynalazek?

- Jeśli zrealizujemy mój projekt i jeśli zdołamy zachować go w tajemnicy przed naszymi przeciwnikami...

Generał skrzywił się ironicznie.

- W tajemnicy? To stokroć trudniejsze od realizacji!

- Ale konieczne! Bez tego projekt Antybroni traci od razu cały sens i skuteczność. Otóż plan polega na tym, by w rejonie działania Broni Termicznej, którą nas ostrzela przeciwnik, spowodować tak znaczne obniżenie temperatury, by zneutralizować wpływ wybuchu. Wysoką temperaturę ośrodka należy natychmiast obniżyć, by nie osiągnął on stanu lotnego...

- Panie profesorze - przerwał znów generał. - Jesteśmy przygotowani na to, że w razie ataku ze strony Liquenidów zginie część naszego narodu, a część obszaru ulegnie zniszczeniu. Nasze skupiska mieszkalne i przemysłowe są rozmieszczone w ten sposób, że każde z nich trzeba by niszczyć osobnym pociskiem Broni Termicznej. Jak panu zapewne wiadomo - ciągnął tonem złośliwym - ośrodek, w którym żyjemy, składa się w głównej mierze z tlenu wodoru. Substancja ta dość słabo przewodzi ciepło: Lokalny nagrzew nie może mieć zasięgu większego niż...

- Pan mnie raczy argumentacją, która służy wam do tumanienia opinii publicznej! - oburzył się profesor. - Ja wiem nieco więcej na temat Broni Termicznej i fizyki hydrosfery. To, o czym naucza się w szkołach na temat Wszechświata, jest przeżytkiem i bzdurą. Nieprawdą jest, jakoby Wszechświat składał się głównie z tlenu wodoru, w którym tu i ówdzie pływają kuliste globy! Planety otoczone są tylko cienką stosunkowo warstwą tlenu wodoru! Dalej rozciąga się ośrodek niepomiernie rzadszy, gazowy, może nawet próżnia!

- Bzdury! - odparował generał. - Wiadomo przecież, że w miarę posuwania się w górę hydrosfery ciśnienie maleje równomiernie o jednostkę na każde dwadzieścia trzy pletwy wzniesienia!, Tak pan sobie wyobraża nagłe przejście do tego "rzadszego ośrodka"? Tak ni stąd, ni zowąd, skokowo?

- A dlaczegóż by nie? To jedna z możliwości, jakie się bierze pod uwagę. Co zaś stąd wynika nietrudno przewidzieć: jeśli wybuchnie zbyt wiele pocisków Broni termicznej równocześnie, może się zdarzyć, że wyparuje znaczna część ośrodka ciekłego, jaki otacza naszą planetę.

- Co to za nawy termin: "wyparuje"? zdziwił się generał.

- Znaczy tyle, co: "przejdzie w stan lotny". Otóż jeśli zmniejszy się tak znacznie poziom cieczy, spadnie również parcie na każdą płetwę kwadratową dna. Rozumie pan? Poziom górnej powierzchni cieczy musi się wyrównać, ciecz spłynie w miejsca, z których wyparowała wskutek działania Broni Termicznej! Nie muszę wyjaśniać, jak podziała na nasze organizmy tak wielki i gwałtowny ubytek ciśnienia. Nie przeżyje tego nikt! Ani my, ani nasi wrogowie! Jeśli dodać do tego lokalne gradienty temperatury...

- Profesorze! Wszystko, co pan mówi, oparte jest na teoretycznych hipotezach! My, wojskowi i politycy, nie możemy sobie pozwolić na luksus opierania naszych decyzji na nie sprawdzonych przypuszczeniach. Kiedy wasze teorie nabiorą realnych kształtów, przyjmujemy je do wiadomości...

- Więc co z moim projektem?

- Zastanowimy się... - generał opędział się prawą płetwą od drobnych rybek, które wpływały przez otwarte okno gabinetu i kręciły się wokół jego skrzelii. - Postawię pańską sprawę na Kolegium Ministerstwa.

Profesor nie odrzekł na to nic. Zabulgotał tylko gwałtownie z nie tajonym niezadowoleniem i oświadczył:

- Żegnam pana, generale. Odpływam wielce niespokojny o losy państwa pod rządami nieodpowiedzialnych dygnitarzy! - po czym odpłynął, majestatycznie poruszając płetwami.

Generał wypuścił rój baniek powietrza i pomyślał: Bezczelny, stary, śnięty dorsz! - Sięgnął do sygnalizatora i nacisnął kilka klawiszy.

Do gabinetu wpłynął najpierw Kelmali, a za nim Estekma i Asas, szefowie sztabów.

- Był tu ten dureń Ooboo. Usiłował mi przedstawić jakąś nową Antybroń swojego pomysłu...

- Co mu pan odpowiedział, generale?

- Słuchałem cierpliwie, dopóki nie zaczął bredzić o tych nowych poglądach Godeaba, o działaniu wybuchów termicznych na hydrosferę. Potem już nie miałem cierpliwości.

- Niedobrze... - mruknął Asas. - Jeśli on to sprzeda Liquenidom...

Na biurku generała zadźwięczał ostry sygnał. Porwali się z miejsc i patrzyli, trwożnie wachlując płetwami, na twarz generała.

- Alarm! - zawołał Losquear, ciskając słuchawkę. - Nieprzyjacielski pocisk wykryty w górnych warstwach hydrosfery! Wydać rozkazy według planu A, wariant drugi.

Nim dopadli schronu, ze wszystkich wyrzutni pobiegły w stronę Liquezycji śmiertelne pociski Broni Termicznej. W połowie drogi minęły je takie same pociski, zmierzające w kierunku Hydryzji...

Pierwszy pocisk, który stał się przyczyną alarmu, zarył się w mule dennym, nie czyniąc nikomu szkody. Rozkazy były już jednak wydane.

Następne pociski eksplodowały skutecznie.

- No, i co? - Severius wyszedł z laboratorium i tryumfalnie popatrzył na oczekujących.

- Wiecie, co było w tym mule dennym, który przyniosły sondy po kataklizmie?

Patrzyli na niego pytająco.

- Białka! Rozumiecie: białka...

- No, to w porządku - powiedział Georg. Plankton...

- Jaki tam plankton! Ani jednej całej komórki, pojedyncze drobiny wysoko zorganizowanego białka!

- Wirusy?

- Do diabła! Przecież odróżniam wirusa od cząsteczki wyosobnionej z organizmu o wysokim stopniu złożoności. Analizowałem strukturę kwasów dezoksyrybonukleinowych... Ten organiczny muł pochodzi z zupełnie świeżych, wysoko zorganizowanych tkanek. Tkanek, które się rozpadły na pojedyncze cząsteczki... Jakby ktoś porozdzierał komórki na strzępy.

- Zgadza się. To wewnętrzne ciśnienie... W czasie tych... wybuchów podwodnych poziom oceanu opadł w sposób wyraźny. Organizmy denne...

- Tak. To samo stwierdziliśmy z Vergem. Poza tym wszystkie te białka poddane były działaniu temperatury rzędu stu stopni Celsjusza powiedział Severius.

- Innymi słowy, ugotowały się - podjął Georg.

Severius skinął głową, a potem, jakby po głębokim namyśle powiedział:

- O ile moja metoda badań strukturalnych jest słuszna, część spośród białek, jakie udało nam się wyodrębnić z próbek mułu, pochodzi z organizmów o bardzo wysokim stopniu komplikacji...

Wszystkie czoła schyliły się nieco ku podłodze. - Miałaś rację, Severius - powiedział Greb ponuro. - Zdaje się, że wiem, jaki to czwarty rodzaj równowagi naruszyły nasze sondy: to była równowaga polityczna...

Nikt się jakoś nie roześmiał...

Porządek musi być (brak)

Tau wieloryba (brak)

Skorpion

Agraw wzbił się pionowo w górę, potem zatoczył szerokie półkole nad budynkiem i wziął kurs na południe. Pilot i pasażerowie, wyrwani przed chwilą ze snu, ziewali jeszcze, przecierając zaspane oczy... Yason wyjął z kieszeni zwinięty formularz raportu dyspozytora i raz jeszcze odczytał treść, analizując sytuację.

- Sprawdzić broń, załadować pociskami obezwładniającymi - powiedział do towarzyszy. - Będziemy strzelać z zaskoczenia. Najważniejsze, żeby nie zdążyli niczego zniszczyć. Ty, Collodi, zabezpieczysz dokumentację i źródła informacji.

- Tak jest - powiedział ospale tęgi mężczyzna siedzący obok pilota.

- Pozostali - ciągnął Yason - zajmą się tymi ludźmi. Jest ich czterech albo pięciu, prawdopodobnie bez broni, ale mogą mieć sygnalizację ostrzegawczą. Trzeba będzie bardzo ostrożnie otoczyć budynek. Ty, Borrov - zwrócił się do pilota - zostaniesz na zew - natrz i będziesz strzelał do każdego, kto nam się wymknie. Dom stoi na uboczu, w lesie. Lądować będziemy w dość znacznej odleg - łości, żeby ich nie spłoszyć. Czy wszystko jasne? Sprzęt w porzą - dku?

- Informetr mi nie działa, szefie! - powiedział Pessa.

- Wymień baterie. Zresztą pewnie nie będzie potrzebny. Sprawdźcie jeszcze amnestory!

- Będziemy ich o d k a ż a ć? - ucieszył się Lasteck.

- Tylko w razie skrajnej konieczności. Mamy polecenie przywieźć ich z pełnym zasobem informacji. Może uda się coś z nich wycisnąć w cefalektorze.

Przez kilkanaście minut lecieli w milczeniu.

- Co oni tam właściwie robią? - spytał nagle Stemp cichym głosem. - Za co mamy ich...?

- To przestępcy niebezpieczni dla ludzkości. Użytkują bez zezwolenia nie rejestrowany komputer średniej mocy - wyjaśnił Yason.

- I co na nim robią?

- Nie wiemy i na tym właśnie w głównej mierze polega ich przestępstwo. Naszym obowiązkiem wobec ludzkości jest dowiedzieć się, co zamierzają.

- Raczej, co zamierzali! - poprawił Collodi. - Myślę, że nie zdziałają już nic więcej.

- Biedacy. Ktoś ich sypnął. A teraz pewnie dostaną personifikację albo w najlepszym razie kilka lat izolacji - powiedział Stemp ze współczuciem.

- Nie masz powodu ich żałować - obruszył się Yason. - Sami sobie winni.

- Ano niby tak... - zgodził się Stemp.

W dole błysnęło kilka świateł - to było osiedle. Dalej rozpoczynał się las. Agraw osiadł na jego skraju, w wysokiej, wilgotnej trawie. Yason czekał, aż wszyscy zabiorą sprzęt i wyjdą z kabiny.

- Grupa interwencyjna gotowa do akcji - zameldował Stemp.

- Dobrze. Iść ostrożnie - powiedział Yason i sięgnął pod lewą klapę kurtki. Odpiął mały metalowy znaczek. Przez chwilę obracał go w palcach. Był to tłoczony w srebrzystej blaszce wizerunek atakującego skorpiona z łukowato wygiętym odwłokiem, na którego końcu połyskiwał ostry, jadowity kolec.

„Każdy z nich - pomyślał Yason patrząc za odchodzącymi - jest takim małym, jadowitym owadem. Ja też nim jestem i muszę być najkąśliwszym z nich...”

Podrzucił znaczek na dłoni, a potem przypiął na zewnętrznej stronie klapy. Przewiesił przez ramię pasek od miotacza, wyskoczył z kabiny agrawu wprost na trawę i szybkim krokiem ruszył za towarzyszami.

Akcja przebiegała zgodnie z założeniami. Pessa i Lasteck wkroczyli do wnętrza budynku przez tylne wejście. Collodi zabezpieczał drzwi frontowe, a Yason z bronią gotową do strzału wkroczył do środka. Na jego widok jeden z czterech ludzi, odwrócony właśnie twarzą do drzwi, zdążył tylko wyszeptać ochryple poblądłymi wargami:

- Panie docencie, SKORPION...

Celny strzał Yasona obezwładnił go na miejscu. Dwaj inni, próbujący ukryć się w głębi budynku, zostali przechwyceni przez Pessa. Czwarty, siwy staruszek, pozostał na środku pokoju z twarzą wyrażającą smutne zdziwienie i rezygnację.

- Jesteśmy funkcjonariuszami Służby Kontrolno-Operacyjnej Regulacji Postępu i Ochrony Nauki - powiedział dobitnie Yason, podsuwając przed oczy starca srebrny znak SKORPIONA. - Proszę nie stawiać oporu!

Wracając, Yason przeglądał skonfiskowane materiały.

- Wiecie, nad czym ona pracowali? - powiedział po zapoznaniu się z kilkoma tabelami i zawartością taśm. - Opracowywali syntezę pewnego leku psychotropowego.

- Dlaczego więc robili to w tajemnicy? - zdziwił się Stemp. - Mogli przecież legalnie zgłosić to do SKORPIONA.

- To nie taka prosta sprawa, And! Okazuje się, że podczas produkcji tego środka powstaje duża ilość ciekłych odpadów, które należałoby zabezpieczyć, gdyż są silnie toksyczne. Możliwość usuwania do ścieków całkowicie odpada. Analizowali właśnie

możliwość unieszkodliwiania tych odpadów na skalę przemysłową. Zdaje się, że bez widocznych rezultatów.

- A zatem zrobiliśmy kawałek dobrej roboty, unieszkodliwiając tych panów! - powiedział Collodi. - Myślę, że gdyby opracowana przez nich technologia produkcji dostała się w ręce producentów, nic nie powstrzymałoby ich od wdrożenia... Szczególnie przy tak wielkim popycie na leki psychiatryczne, jaki obserwujemy w naszym stuleciu.

- A sprawą szkodliwości odpadów zainteresowano by się dopiero po wytruciu resztek planktonu w rzekach. Tak, dobrze się stało, że udała się nam ta akcja - dodał Yason, a twarz jego przybrała wyraz głębokiego zadowolenia.

- Komputery w naszym stuleciu stały się tym w stosunku do ludzkiego mózgu, czym w przeszłości była broń masowej zagłady wobec broni konwencjonalnej: umożliwiły osiągnięcie tego samego skutku szybciej, taniej i dokładniej. Porównanie jest tym trafniejsze, że komputeryzacja, jak niegdyś broń termojądrowa - stała się w pewnej chwili groźbą dla podstaw istnienia ludzkiej cywilizacji. "Myślenie konwencjonalne" nie doprowadziłoby nigdy do tak zawrotnego tempa rozwoju nauki i techniki, jakie umożliwia elektroniczna technika przetwarzania danych.

Groźba "elektronicznego myślenia" przejawiała się w tym, że stała się faktem sytuacja z dawna przewidywana przez trzeźwiej myślących uczonych: nastąpiły poważne przerosty niektórych dziedzin nauki oraz brak kontroli nad całością postępu wiedzy. Utrzymanie rozsądnych proporcji między rozwojem wiedzy teoretycznej a możliwościami i celowością jej zastosowań dla dobra człowieka stało się zadaniem chwili.

Wystąpiło wiele problemów składających się na ogólny stan zagrożenia naszej cywilizacji przez komputery, a raczej przez wyniki ich stosowania.

Pierwsze zagadnienie, podniesione najwcześniej, to sprawa izolacji i wąskiej specjalizacji niektórych dziedzin, czyli innymi słowy braku integracji nauk, szczególnie w takich dziedzinach, jak wzajemne oddziaływanie przemysłu na środowisko biologiczne, urbanizacji - na psychikę człowieka i socjologiczne powiązania dużych skupisk ludzkich. Zanieczyszczenie wód i atmosfery jako wynik działalności przemysłu obnażyły już w XX wieku bezsilność ekologów i działaczy towarzystw ochrony przyrody wobec inwazji techniki.

Drugie zagadnienie - to zjawisko ujęte w tzw. prawie Zolla - Grema. Prawo to głosi, że rozwój cywilizacji jest funkcją rosnącą w czasie w sposób analogiczny do relatywistycznego wzrostu masy. Inaczej mówiąc: podobnie jak prędkość ciała materialnego nie może osiągnąć prędkości światła, cywilizacja nie może przetrwać w ramach jednego cyklu rozwojowego poza pewien określony moment, w którym "stopień rozwoju" osiąga

wielkość nieskończoną. Oczywiście osiągnięcie takiego stanu jest niemożliwe, cywilizacja załamuje się więc w swym rozwoju i ginie nieco wcześniej. Ten moment krytyczny, zwany w popularnej literaturze "ekstrapolowanym końcem świata", można z pewnym przybliżeniem wyznaczyć na podstawie aktualnego tempa rozwoju cywilizacji oraz dynamiki tego rozwoju, czyli, matematycznie rzecz ujmując, na podstawie pierwszej i drugiej pochodnej funkcji rozwoju. Pierwsze, najbardziej nawet optymistyczne obliczenia wykazały, że ten krytyczny punkt cywilizacja nasza mogłaby osiągnąć o wiele wcześniej, niż można było przypuszczać.

Wynika stąd, że już w niedalekiej przyszłości dojść by mogło do takiej sytuacji, że człowiek, budzący się rano, nie poznawałby świata znanego z dnia wczorajszego. Cały dzień poświęciłby na aktualizację swej wiedzy i uzupełnienie jej o nowe elementy, by następnego dnia zacząć znów to samo od początku.

Weźmy inny przykład: oto ktoś prowadzi pojazd mechaniczny z Wiednia do Paryża. Podróż trwa cały dzień, ale władze komunikacyjne nie śpią: co godzina zmieniają się przepisy drogowe i powstaje kilka nowych znaków drogowych, które są natychmiast skwapliwie ustawiane wzdłuż drogi. Nasz podróżnik jest oczywiście na bieżąco zarzucany biuletynami informującymi o tych wszystkich zmianach, lecz cóż z tego? W pewnym momencie musi zatrzymać samochód, by przestudiować te informacje. Nim je jednak przyswoi, powstają nowe i nowe. I oto widzimy nieszczęsnego kierowcę, który zamiast poruszać się ku wytkniętemu celowi, siedzi na skraju autostrady i wertuje sterty przywalających go informacji. Co gorsza, pewne jest, że nigdy już nie dojedzie do celu. Po prostu odpadł w wyścigu z komputerami usprawniającymi i optymalizującymi zasady ruchu w tempie znacznie szybszym, niż umysł pojedynczego średnio zdolnego osobnika jest w stanie przyswoić.

Ten absurdalny przykład wystarczy chyba państwu jako ilustracja konsekwencji prawa Zolla-Grema, przy założeniu żywołości rozwoju techniki elektronicznego przetwarzania danych i przy nie kontrolowanym i powszechnym jej stosowaniu.

Korzystając z doświadczeń i osiągnięć zastosowanej w swoim czasie światowej kontroli broni masowego rażenia, w początkach naszego stulecia zawarto odpowiednią konwencję międzynarodową i powołano do życia instytucję, której zadaniem miało być rejestrowanie i kontrolowanie wszelkich prac badawczych wykonywanych za pomocą komputerów. Służba Kontrolno-Operacyjna Regulacji Postępu i Ochrony Nauki miała za zadanie, ogólnie biorąc, nie dopuszczać do prowadzenia prac, których wyniki mogłyby w sposób bezpośredni lub pośredni zaszkodzić dobru ludzkości i cywilizacji ziemskiej. To trudne i na pozór beznadziejne zadanie SKORPION spełnia ze zmiennym powodzeniem od

kilkudziesięciu lat. W tym czasie rozrósł się w instytucję światową o nieprawdopodobnym wprost zasięgu, o niezmiernie szerokich uprawnieniach i możliwościach administracyjno-prawnych. Niestety, sytuacja w dzisiejszej nauce i technice dawno już przerosła możliwości SKORPIONA: zbyt szeroki wachlarz kontrolowanych zagadnień i tematów nie pozwala specjalistom ze SKORPIONA na szczegółową i fachową analizę wszystkich zgłaszanych zagadnień. W imię więc swego naczelnego celu - to znaczy niedopuszczenia do prowadzenia prac szkodliwych dla cywilizacji - SKORPION odrzuca i zabrania prowadzenia większości proponowanych badań. Czyni to na wszelki wypadek, kierując się częstokroć li tylko intuicją swych ekspertów.

Nie muszę chyba tłumaczyć, jak fatalnie odbija się to na stanie nauki i techniki. O ile niegdyś SKORPION tylko utrudniał, o tyle teraz wręcz uniemożliwia wszelki rozwój wielu dziedzin życia. Nastąpiło przegięcie w drugą ostateczność - w stronę stagnacji nauki! SKORPION kontroluje wszystkie działające komputery, a podejmowanie w tajemnicy prac nie zatwierdzonych grozi uczonym konsekwencjami najwyższej miary, do pozbawienia osobowości i wymazania pamięci włącznie - traktuje się ich bowiem, w myśl obowiązującej niestety konwencji, jako zbrodniarzy przeciw ludzkości!

Panowie! SKORPION jest instytucją tak silną i tak rozbudowaną, że nie ma praktycznej możliwości rozwiązania lub ograniczenia jej działalności. Agenci SKORPIONA są wszędzie, każda więc próba protestu ze strony uczonych zostanie w zarodku zdławiona, a protestujących izoluje się lub depersonifikuje. Nie zdołamy niczego zdziałać za pomocą legalnych środków. Sytuacja dojrzała do tego, by wznieść okrzyk: "Ratujmy cywilizację!" Aby zaś ją uratować musimy zniszczyć SKORPIONA.

Lekki szmer przebiegł wśród zebranych. Niektórzy trwożnie rozejrzeli się dokoła.

Profesor Kerdan wypił kilka łyków wody ze szklanki i otarł spocone czoło. Usiadł, poprawił okulary i powiedział przytłumio - nym głosem:

- Koledzy! W naszej operacji możemy liczyć wyłącznie na własne mózgi. Ich zawartości SKORPION nie jest w stanie, na szczęście, kontrolować. Nie możemy natomiast korzystać z pomocy komputerów. Nasz przeciwnik dysponuje czujkami do wykrywania informacji zawartej we wszelkiego rodzaju układach sztucznych. Żaden nielegalny komputer nie uchowa się długo przed czujnymi in-spektorami SKORPIONA. W wąskim gronie wtajemniczonych poczyniliśmy już pewne kroki przygotowawcze do wielkiej akcji. Zebrałem tu was, samych zaufanych i oddanych sprawie. Chcę przedstawić ogólny zarys naszego planu oraz omówić poszczególne operacje, wchodzące w jego skład...

Po trzeciej rewizji, dokonanej przez automaty, Yason czuł się jak przenicowany. Miał wrażenie, że nie tylko każdą kieszeń, lecz i każdy zakamarek mózgu spenetrowano mu dokładnie. Wiedział jednak, że takich możliwości SKORPION jeszcze nie posiada. W tej części gmachu Yason był po raz pierwszy. Ściskając w dłoni żeton - przepustkę, przemierzał puste korytarze, kierowany świetlnymi strzałkami orientacyjnymi. To tutaj. Zatrzymał się przed niewielkimi drzwiami z napisem DYREKTOR GENERALNY. Otworzyły się samoczynnie, gdy wrzucił żeton w szparę automatu. Znalazł się w małym przedsionku, gdzie raz jeszcze automatyczny sekretarz sprawdził mu kieszenie. Za następnymi drzwiami był już gabinet samego Wielkiego Szefa.

Zaraz po przekroczeniu progu Yason został oślepiony snopem jaskrawego, skierowanego wprost w oczy światła. Zobaczył na tle ciemnego wnętrza jasną plamę reflektora i odwrócił twarz w bok.

- Proszę siadać. Krzesło jest po lewej stronie drzwi - powiedział cichy, łagodny głos zza świetlnej plamy.

Mrużąc oczy, Yason poszukał krzesła i usiadł. - Przepraszam za to światło w oczy. To niestety konieczność. Mam zbyt wielu nieprzyjaciół, rzecz normalna w mojej sytuacji. Dlatego wolę, by jak najmniej ludzi, nawet spośród personelu SKORPIONA, znało moją twarz. Najlepiej zamknąć oczy, Yason.

Yason opuścił powieki. W głębi gabinetu zaszeleściły pa-piery. Po chwili głos Szefa ciągnął dalej:

- Twój raport brzmi nieco enigmatycznie. Zaciekawiał mnie jednak. Jesteś bardzo zdolnym i sumiennym pracownikiem. Sprawdziliśmy to dokładnie, zanim powziąłem decyzję powierzenia ci pracy w Służbie Interwencyjnej. Później też byłeś obserwowany i testowany. Przypomnij sobie sprawę Horgana. Kazaliśmy ci osobiście go zatrzymać i zdepersonifikować. Wiedzieliśmy, że to twój krewny. Rozkaz wykonałeś bez wahania. Wiemy, że jesteś całkowicie oddany służbie i mamy do ciebie zaufanie. Dobrze się też stało, że raport skierowałeś bezpośrednio do mnie. To wygląda na sprawę najwyższej wagi. W takich sprawach nie ufam nawet moim zastępcom. Sam się tym zajmę, a ty, i tylko ty, dopomożesz mi. A teraz czekam na bliższe wyjaśnienia.

- Czy mogę mówić swobodnie o wszystkim? - Yason rozejrzał się na boki spod na wpół opuszczonych powiek.

- Nikogo tu nie ma oprócz jednego tępawego robota. Mów, śmiało.

- Informacje te nie mogą dotrzeć do nikogo oprócz pana, Szefie. Leży to także w moim interesie. Gdyby ktokolwiek dowiedział się, że to ja przekazałem je panu, nie wahano by się ani chwili i pewnie byłyby to ostatnie moje usługi wobec SKORPIONA.

- Cóż więc zamierza robić Kerdan?

- Mikrofilm zawierający całą dokumentację ukrył w sobie tylko wiadomym miejscu, ale nas nie powinny interesować szczegóły jego prac. Musimy go mieć, Kerdana i tych kilku jego najbliższych współpracowników, zanim czegokolwiek będą się domyślali. Realizacja ich planów jest kwestią najbliższych dni!

- W raporcie piszesz, że Kerdan zajmował się ostatnio pracami z dziedziny protetyki układu nerwowego. Ponadto napisałeś, że prace jego godzą w podstawy istnienia SKORPIONA. Nie widzę związku między jednym a drugim.

- Ta protetyka to kamuflaż. Prace te prowadzi legalnie i używa ich jako parawanu dla swych poczynań zmierzających do niecznych celów. Znając nasze niepowodzenia w zakresie kontroli zawartości żywego mózgu, Kerdan postanowił uderzyć w ten nasz najsłabszy punkt. Dotychczas panowaliśmy nad sytuacją, ponieważ współczesna nauka nie opiera się już na mózgach pojedynczych mędrców, lecz jest wynikiem działania całych zespołów użytkujących liczne maszyny elektroniczne. Metoda Kerdana ma na celu wyeliminowanie maszyn z pracy zespołów uczonych. Postawiłoby to nas wobec groźby utraty kontroli nad procesami naukowotwórczymi. SKORPION przestałby spełniać swe zadania, to zaś byłoby pretekstem do ograniczenia jego uprawnień, a być może do likwidacji...

- To się nikomu nie uda - powiedział Szef pewnie.

- Kerdan powiedział wręcz, że pierwszym zagadnieniem, jakie zamierza rozwiązać swoją nową metodą, jest plan zniszczenia SKORPIONA!

- Przelicz się. Likwidacja instytucji jest zadaniem tysiąckroć bardziej złożonym niż jej powołanie. - W głosie Szefa, mimo żartobliwej nuty, można było dosłuchać się cienia niepokoju.

- Czy dowiedziałeś się czegoś więcej o szczegółach tej metody?

- Niewiele. Polega ona na bezpośrednim łączeniu żywych mózgów w tandemy, z których ma powstać układ o mocy intelektualnej przekraczającej wszystko, co dotychczas osiągnięto w dziedzinie komputerów... Najistotniejszym zagadnieniem, które ponoć udało się mu rozwiązać, jest system krążenia informacji w zespołach, eliminujący pośrednictwo mowy i pisma. Bezpośrednie i wielokanałowe przekazywanie informacji z mózgu do mózgu zlikwiduje wąskie gardło przekazu ustnego. Tym samym wzrośnie niepomniernie efektywność układu. Jeśli dodać do tego fakt, że współpracownicy Kerdana opracowali sposób

selektywnego wymazywania z mózgów zbędnej informacji bez naruszenia informacji istotnej, to...

- Skąd wiesz o tym wszystkim? - SzeF przerwał wyraźnie już poruszony.

- Od Kerdana. Poza tym widziałem niektóre fragmenty mikrofilmu. Od dwóch lat jestem członkiem zespołu Kerdana i pozyskałem jego zaufanie. Niestety, żaden z jego współpracowników nie ma dostępu do całości dokumentacji.

- Jesteś genialnym agentem, Yason. Poprowadzisz tę sprawę dalej. Czy masz propozycje działania?

- Działać musimy natychmiast. Kerdan zamierza przede wszystkim powielić mikrofilm i przesłać do wszystkich większych ośrodków naukowych. Jeśli ta zaraza rozejdzie się po całym świecie, nie opanujemy sytuacji. Proponuję przechwycić wszystkich, którzy wiedzą coś o tej sprawie, oczywiście z Kerdanem na czele... Następnie trzeba ich wszystkich o d k a z i ć, aby w ich umysłach nie pozostało ani śladu tej obłądnej idei...

- W ten sposób nie uzyskamy mikrofilmu - zauważył SzeF.

- To nie ma znaczenia, dopóki jest tylko jeden egzemplarz i tylko Kerdan wie, gdzie go schował. Mało prawdopodobne, by ktoś odnalazł to przypadkiem, a być może, że uda się nam z czasem odszukać skrytkę.

- Nie. Musisz zdobyć mikrofilm. Ma to dla nas wielkie znaczenie.

- Obawiam się - zawahał się Yason - że nie zdążę...

- Musisz zdążyć. To sprawa największej wagi.

W umyśle Szefa zajaśniała oszałamiająca wizja: „Tak, koniecznie trzeba wygrać tę sprawę dla SKORPIONA! Zamiast zachwiać się i runąć SKORPION zaciśnie mocniej dłoń na grdyce szalanej cywilizacji! Bezpośrednie przekazywanie informacji z mózgu do mózgu! Stąd jeden krok tylko do powszechnej kontroli mózgów! Tego było nam zawsze potrzeba. Tego na próżno szukają od lat specjaliści z Zakładu Informetrii i Cefaloskopii. A selektywne wymazywanie zawartości pamięci umożliwiłoby częściowe wycofywanie pewnych ważnych informacji z mózgów samych agentów SKORPIONA! Co za wspaniałe możliwości, jakie perspektywy centralizacji zarządzania wszystkim - w rękach dyrekcji. W moich rękach!”

- Tak, musisz tego dokonać, Yason - powiedział SzeF głośno, a w myśli dodał: „A potem zapomnisz o tym wszystkim, na zawsze zapomnisz!” - Potrafię ci to wynagrodzić, Yason. Tylko bądź nadal lojalnym pracownikiem. Teraz idź i działaj.

„Swoją drogą - pomyślał SzeF - dobrze, że sprawa trafiła na tego prostodusznego chłopca. Nie jest chyba na tyle bystry, by zostać moim konkurentem w całej rozgrywce.

- Jeszcze jedno - powiedział Yason, zawracając od wyjścia. - Gdy tu szedłem rewidowano mnie kilkakrotnie. Gdybym miał ten mikrofilm... w jaki sposób mam go panu dostarczyć?

- Oczywiście, że tylko do moich rąk. Przynieś go tutaj. Dostaniesz żeton, który umożliwi ci wstęp bez rewizji. Pluton!

- Słucham, panie! - rozległ się z kąta głos robota.

- Wyprowadź tego człowieka.

- Tak, panie! Do której celi?

- Nie do celi, durniu, tylko do hallu wyjściowego. Tam dasz mu żeton wolnego wstępu.

- Tak, panie! Chodź, panie!

Poprzedzany przez robota, Yason wyszedł z gabinetu. Robot prowadził go jakąś inną, krótszą drogą po korytarzach gmachu.

- Pluton! - powiedział Yason, gdy znaleźli się w znanej mu windzie. - Możesz wrócić, sam dalej trafię.

- Nie mogę, panie. Mam rozkaz odprowadzić cię do wyjścia.

- Dobrze. Jedziemy na dół.

W hallu przy wejściu robot wręczył Yasonowi żeton i chciał odejść.

- Pluton! - zawołał Yason ostro.

- Słucham, panie!

Yason rozejrzał się dokoła, a upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, powiedział:

- Stań na głowie, Pluton!

- Tak, panie! - odpowiedział automat posłusznie i po chwili zgrabnie stanął na swej niezbyt roztropnej elektronicznej głowie.

Yason nieznacznie uśmiechnął się do swoich myśli.

Idąc ulicą, Yason rozglądał się ukradkiem, przystawał od czasu do czasu zmieniał kierunek marszu. Po raz trzeci czy czwarty mignęła mu w tłumie ta sama twarz młodego mężczyzny.

„Szef mi nie ufa - pomyślał i skrzywił się z niesmakiem. - Musiał się mocno przestraszyć i teraz nie ufa nikomu”.

Lewą dłonią, którą trzymał wciąż w kieszeni płaszcza, wymacał cylindryczny, twardego kształtu kasetki. Przed wejściem do gmachu zatrzymał się i, zapalając papierosa, obejrzał się dyskretnie. Nie było za nim nikogo. Widocznie agent miał polecenie śledzić go tylko do tego

miejsca. Yason pchnął obrotowe drzwi i ruszył w kierunku windy. Automat-portier cofnął się przed nim uprzejmie na sam widok żetonu. Na piętrze już nikt nie próbował go rewidować. Dopiero w przedsionku gabinetu Szefa dwóch drabów przejrzało mu kieszenie, ale widocznie mieli polecenie niezagładania do kasety z mikrofilmem. Jeden z nich otworzył drzwi gabinetu i przepuszczając Yasona przodem, zameldował:

- Już jest, Szefie. Czy mamy czekać?

- Nie, jesteście wolni - powiedział Szef z głębi ciemności.

Po chwili światło reflektora zmusiło znów Yasona do zamknięcia oczu.

- Witam cię, Yason, nie przychodzisz chyba z pustymi rękami?

- Nie. Oto kasetka. - Yason wyjął z kieszeni aluminiowe pudełko.

- Jak to zdobyłeś?

- Kerdan pojechał na zjazd naukowy do Altras. Przed wyjazdem posiałem w jego myślach trochę niepokoju. Powiedziałem, że SKORPION może coś zwąchać. A jeśli dopadną profesora, przepadnie mikrofilm...

- Bardzo subtelna akcja... - pochwalił Szef. - A on na pewno szybko przekazał mikrofilm komuś ze swych najbliższych współpracowników?

- Nie. Po prostu wskazał miejsce jego ukrycia. Nie mnie, oczywiście. Ja dla niego zbyt mało znaczę. Ale pilnowałem go, miałem na podsłuchu, no, nie muszę panu chyba wyjaśniać naszych metod...

- Jasne - zaśmiał się Szef. - Bardzo się cieszę. Podaj mi ten mikrofilm... Albo nie. Niech mi go przyniesie Pluton. A propos, może mi powiesz, po co kazałeś Plutonowi stawać na głowie?

- Musiałem się przekonać, czy jest dostatecznie głupi - uśmiechnął się Yason. - Był przy naszej rozmowie...

- Mówiłem, żebyś się nie obawiał. On ma pamięć tylko do rozkazów. Pluton, przynieś kasetę od tego człowieka.

Robot zbliżył się do Yasona z wyciągniętym chwytykiem, zabrał kasetę i zaniósł za krąg światła. Yason zamknął oczy. Dłonie jego, zaciśnięte na brzegu krzesła, drżały niedostrzegalnie. Wyteżył słuch. W ciszy gabinetu słychać było szybki oddech człowieka siedzącego za reflektorem.

- Czy to już wszystko? Cała dokumentacja? - spytał Szef.

- Tak. Film jest wywołany, można sprawdzić.

- Oglądałeś to?

- Tylko pobieżnie, Kerdan pokazał mi kilkanaście klatek.

W zapadłej ciszy Yason słyszał lekki zgrzyt odkręcanego wieczka. Wstrzymał oddech. Zaraz potem usłyszał dwa chrapliwe, ostre kasznięcia i dźwięk upadającego pudełka. Zakrętka potoczyła się po podłodze. Yason zerwał się z miejsca i podbiegł w kierunku Szefa. Oślepiionymi oczyma poszukał go za kręgiem reflektora. Szef siedział w fotelu, z głową odrzuconą na oparcie. Yason, wciąż nie oddychając, zaciskając nozdrza palcami, dopadł drzwi wejściowych i wybiegł do przedsionka. Tu dopiero odetchnął głęboko i krzyknął w głąb gabinetu:

- Pluton! Włącz wentylację!

Zamykając drzwi gabinetu słyszał szum wentylatorów. Odczekał w przedsionku kilka minut, potem uchylił drzwi. Wszedł i skierował reflektor na twarz człowieka leżącego w fotelu.

- Rzeczywiście - powiedział, wyjmując z kieszeni lusterko i porównując twarz Szefa ze swoją. - Pewne podobieństwo jest. Pluton! Podaj mi maszynkę do golenia i amnestor.

- Tak, panie! - powiedział robot, podchodząc do ściennej szafki. Po chwili podał żądane przedmioty. Yason przyłożył elektrody amnestora do skroni Szefa i wcisnął spust. Strzałka na skali opadała powoli. Yason odczekał, aż osiągnęła zero, a potem odłożył przyrząd i popatrzył jeszcze raz w twarz leżącego.

„Jak to niewiele potrzeba, by Ktoś stał się nikim!” - pomyślał, sięgając po maszynkę do golenia.

- Pluton! Wynieś tego człowieka.

- Do której celi?.

- Do siedemnastej.

- Już zajęta.

- W takim razie do pierwszej, która jest wolna.

- Cella 4127 - powiedział Pluton. Podniósł z fotela bezwładne ciało i wyszedł przez drzwi ukryte za kotarą w głębi gabinetu.

Yason pociągnął nosem. W gabinecie czuło się jeszcze słabą woń gazu obezwładniającego. Poglądził z żalem swą brodę, a potem z determinacją puścił w ruch maszynkę do golenia.

- Teraz lepiej - powiedział półgłosem, patrząc w lusterko.

Wrócił Pluton. Yason kazał mu wyłączyć wentylację, zamknął drzwi i nikogo nie wpuszczać. Zapalił światło i zasiadł za biurkiem na miejscu Szefa. Przed nim, na małym pulpicie widniał szereg przycisków z oznaczeniami poszczególnych działów i sekcji - to były główne kanały dyspozycyjne. Miał przed sobą wszystkie nici poruszające wielką,

wszechpotężną machiną, będącą postrachem uczonych całego świata. Jednym ruchem dłoni mógł on, Yason, przed chwilą skromny funkcjonariusz SKORPIONA, uczynić z wszystkich mędrców tego świata jedną wielką "tabula rasa", białą plamę bez śladu jednej myśli, jednej informacji... Mógł tworzyć i niszczyć, kierować, zakazywać, decydować..."SzeF zadbał o to, by nasze spotkanie odbyło się naprawdę w cztery oczy - pomyślał. - Zależało mu na tym. Nie ufał nikomu. Sądził, że niczym nie ryzykuje, decydując się na współpracę ze mną. Nie chciał przepuścić takiej okazji, nie mógł oprzeć się chęci sprawdzenia, czy to wszystko prawda. Nie chciał posłużyć się kimkolwiek. Nie docenił mnie jednak..."

Yason powiódł palcem po szeregu przycisków.

- Sekcja ogólna - odczytywał półgłosem. - Ewidencja komputerów. Dział Ekspertyz. Informetria. Służba Interwencyjna...

Zabrzączał telefon. Yason drgnął, po chwili jednak, opanowując drżenie głosu, rzucił w słuchawkę ochryple "Tak?"

- Szefie, przywieźli tego Kerdana, którego Szef kazał dziś dostarczyć. Nie zdezinformowany, wedle rozkazu. Co z nim zrobić?

- Daj do telefonu - powiedział Yason spokojnie. A po chwili:

- To pan, profesorze? Tu Y-3. Akcja "Roszada" zakończona. Operacja "Płomień" wkracza w ostatnią fazę. Skorpion wymierza żądło we własne ciało.

Zjawa (brak)

Sami

Maudr milczał. Leżał i długimi, kościstymi palcami przeczesywał siwą brodę. Inni leżeli wokół niego, przymknawszy oczy, wyciągnięci wygodnie i niedbale.

- Nie mogę pojąć - mówił Iti - dlaczego jakieś tradycyjne względy, jakieś przesady i niczym nie uzasadnione wierzenia mają hamować swobodny rozwój badań zmierzających ku poznaniu Naszego Świata?!

- Na pytanie: czym jest Nasz Świat, odpowiedzieć jeszcze nie potrafię - odezwał się Eso. - Ale - tu przerwał i spojrzał z ukosa na Maudra - wydaje mi się, że wszystko, co wpojono nam od chwili, gdy powstała w nas Świadomość Istnienia, jest, mówiąc delikatnie, mocno naciągniętą legendą... Zastanówcie się chwilę, a przyznacie, że i wy nieraz musieliście mieć wiele wątpliwości w tym względzie... Każda myśląca Istota miewa wątpliwości tego czy innego rodzaju. A szczególnie gdy idzie o sprawy tak niezbadane i tajemnicze, jak Zagadka Bytu czy Sens Istnienia... Nieraz na pewno, patrząc przez Wielkie Oko Naszego Świata, niejeden z was pomyślał, że te miliony Drobnych Światełek, które otaczają was zewsząd - to takie same lub podobne Światy, jak ten, w którym żyjemy... To jest jedyna logiczna hipoteza: Nasz Świat jest jednym z tych światelek błędzących w obszarze wielkiej Pustki. Dlaczegoż by on tylko miał być wyróżniony wśród pozostałych? Dlaczego w Tamtych Światach nie miałyby istnieć Istoty nam podobne?

- Wiadomo jest przecież - przerwał mu niecierpliwie Oak - że Istoty Żywe bytować mogą jedynie w Naszym Świecie. Nikt nie potrafi istnieć poza nim!

- Czy ktokolwiek próbował stwierdzić to doświadczalnie?

- Doświadczalnie? Cóż to takiego? - wtrącił pogardliwie Yox. - To tylko bezkrytyczna wiara w prawdziwość świadectwa zmysłów! A któż mi zaręczy, że wszystko, co oglądam w Wielkim Oku, jest rzeczywistym odbiciem tego, co znajduje się poza Naszym Światem? Skąd mam mieć pewność, że w ogóle istnieje cokolwiek poza jego granicami? Dlaczego wreszcie mam być przekonany, że Nasz Świat w ogóle istnieje, że istniejecie wy wszyscy, że istnieje moje ciało? O tym wszystkim informują mnie moje zmysły, a im mam prawo nie dowierzać, bo są wielce niedoskonałe... Jedynie prawdziwy i ponad wszelką wątpliwość istniejący jest mój Rozum, moja Świadomość Istnienia... Reszta - może być i najprawdopodobniej jest tylko wrażeniem powstającym w mojej świadomości!

- A co robisz, gdy jesteś głodny? - spytał podchwytliwie Oak.

- Gdy odnoszę wrażenie, że jestem głodny - ciągnął nie spieszony Yox - podpełzam do wrażenia, zwanego Wielkim Regeneratorem, który daje mi wrażenie nasycenia. Ot i wszystko! Jak widzisz, nic nie przeczy mojemu pogładowi na Nasz Świat...

- A my wszyscy, podły egocentryku, jesteśmy jedynie twoim wrażeniem? Nie istniejemy obiektywnie, lecz tylko w twojej wyobraźni?

- Oczywiście! Choć czasem dziwię się, jak wrażenie takiego grubasa może się w mojej wyobraźni pomieścić! Na szczęście jest ona dostatecznie szeroka, czego o twojej powiedzieć nie sposób!

Oak usiłował przybliżyć się do Yoxa, aby pięścią udokumentować mu realność swego istnienia, lecz po kilku próbach uniesienia się zrezygnował z tego zamiaru. Odkąd bowiem brzuch zaczął zwisać niżej, niż sięgały kolana, pełzanie sprawiało mu niezwykłą trudność, nie mówiąc już o chodzeniu na czworakach. Poprzestał zatem na gniewnym pomruku i legł wygodnie na miękkim podłożu.

- Pomyślcie zresztą, jakież byłby cel istnienia Naszego Świata, gdyby istniał on naprawdę - dorzucił jeszcze Yox.

- Czy dyskutujesz z n a m i, czy z samym sobą - zjadliwie zagadnął Oak. - bo jeśli z nami, to jesteś niekonsekwentny!

- Pytasz o cel istnienia Naszego Świata? - podjął Eso. - Należałoby spytać raczej o przyczyny, które sprawiły, że on istnieje! Wykazałem już Dość Dawno, że Nasz Świat powstał z zagęszczenia Wielkiej Pustki, jak zresztą i wszystkie Inne Światy! Najpierw powstały ściany Naszego Świata, potem wszystko, co w nim istnieje, a więc i Wielki Regenerator. Z tego ostatniego wreszcie wyszły Istoty... Odtąd zapanowała w Naszym Świecie ta wspaniała harmonia procesów, która tak dobitnie potwierdza słuszność moich wywodów: my, Istoty, istniejemy dzięki Regeneratorowi, z którego czerpiemy Substancje Odżywcze. Regenerator natomiast istnieje dzięki nam, gdyż pochłania wydzielane przez nas Substancje Odpadowe. W ten sposób zamyka się cykl procesów w Naszym Świecie. I to jest właśnie jedyny cel jego istnienia - ciągły ruch, obieg, zmiana - a jednocześnie trwanie, istnienie przez Czas Nieograniczenie Długi!

- Czy naprawdę wierzysz w to - wtrącił milczący dotąd Tako - że Nasz, tak wspaniale urządony Świat, w którym wszystko tak doskonale dostosowane jest do potrzeb Istot w nim żyjących, powstał w procesie samorzutnego kształtowania z monotonnej Pustki Zewnętrznej?

- Po pierwsze nie ma tu mowy o żadnym w i e r z e n i u! To ugruntowana naukowo teoria - oburzył się Eso. - Nie ma wszak nic dziwnego w tym, że w procesie działającym przez Czas Niezmiernie Długi mogą powstawać twory o dużym stopniu złożoności! Nie

doceniasz czynnika ewolucji Światów! Nie tylko Nasz, lecz także wszystkie Inne Światy musiały powstać w ten sam lub zbliżony sposób. I dlatego bardzo prawdopodobne jest, że ich wygląd przypomina Nasz Świat, a więc są tak samo Wydłużone i Zewszehstronkamknięte a w ich wnętrzu, choć niektórym są nie na rękę takie hipotezy, istnieć mogą Istoty Nam Podobne! My jesteśmy najmłodszym, jak dotąd, ogniwem Rozwoju, ale wcale nie powiedziane, że ostatnim! Czy nie przekonałem was jeszcze, że wszystko co nas otacza a także my sami, powstało w Naszym Świecie wskutek zupełnie naturalnych procesów, które dają się wyjaśnić drogą czysto naukową, bez potrzeby uciekania się do legend i przesądów?

- A Stary Człowiek i jego nauki? Czy nie głoszą one wielu rzeczy sprzecznych z tym, co nam tu usiłujesz przedstawić? - Oak nie dawał za wygraną. - Przecież Maudr widział na własne oczy Starego Człowieka! Rozmawiał z nim! Maudr jest z nas najmędrszy i jego Pamięć Rzeczy Minionych sięga znacznie dalej niż nasza.

- Proszę cię, Oak, nie mieszaj podań i legend do naukowej dyskusji! - odparł niecierpliwie Eso. - Stary Człowiek mógł sobie istnieć rzeczywiście, nie mam podstaw wątpić w słowa Maudra! Ale któż nam zaręczy, że Stary Człowiek sam wiedział dobrze o tym wszystkim, o czym nas naucza przez usta Maudra? A jeśli nawet wiedział o Naszym Świecie dużo więcej niż my, to nie możemy mieć pewności, czy przekazał nam wszystko zgodnie z prawdą! Uważam Starego Człowieka za taką samą Istotę, jak my, choć zupełnie nie potrafię sobie wytłumaczyć jego zniknięcia z Naszego Świata... Stary Człowiek mógł rzeczywiście dojść do wielu cennych wniosków... Jeśli z jego Nauk odrzucimy to wszystko, co jest zwykłym uproszczeniem czy upiększeniem Obiektywnej Rzeczywistości, jeśli odetniemy się od mistycyzmu i irracjonalizmu, to otrzymamy być może pewien zbiór kanonów i praw dotyczących życia w Naszym Świecie... Reszta - to tylko cenny zabytek Kultury Czasów Odległych, ale z punktu widzenia nauki - nie przedstawiający wartości poznawczej ani ontologicznej...

- Przepraszam, ale nie rozumiem, co w tym wypadku nazywasz mistycyzmem i irracjonalizmem! - warknął Oak. - Czy w naszej Obiektywnej Rzeczywistości nie ma realnych dowodów na większość tez zawartych w naukach Starego Człowieka? Czy nie są Obiektywnie Rzeczywiste np. Zamknięte Drzwi, o których Stary Człowiek mówi, cytując: "Nie będziesz otwierał Drzwi Zamkniętych, albowiem strzegą one Tajemnic Świata" - koniec cytatu.

- Wybacz, ale zdumiewa mnie brak logiki w twoich wypowiedziach! Czy nie zdajesz sobie sprawy, że istnienie takich właśnie obiektów, których pochodzenia i znaczenia nauka nie potrafi jeszcze wyjaśnić, pobudza fantazję do tworzenia legend i bajek? Nauki Starego

Człowieka powstały przez dopasowanie legendy do rzeczywistości! Stary Człowiek, jak i my, nie potrafił sobie wyjaśnić wielu rzeczy i stąd w jego nauce tyle niejasności i tajemniczych sformułowań!

- A co sądzisz o Głosach, które Maudr słyszał ongiś poprzez jedne z Zamkniętych Drzwi?

- Nie bardzo w nie wierzę... W każdym razie jestem przekonany, że wcześniej czy później potrafimy je wyjaśnić przyczynami zupełnie naturalnymi...

- Jednak pewne jest, że owe Głosy, pośród wielu niezrozumiałych słów, wymieniały nazwę Obiecanego Świata, znaną z nauk Starego Człowieka!

- To mogła być autosugestia! Pośród wielu niezrozumiałych dźwięków łatwo doszukać się znanego słowa, szczególnie gdy słucha się z pewnym określonym nastawieniem... - oponował sceptycznie Eso.

- Przenieśliście dyskusję na płaszczyznę rozważań czysto teoretycznych! A ja chciałbym usłyszeć wasze zdanie na temat następującego projektu: gdyby tak zorganizować wyprawę poza Nasz Świat? Czy nie sądzicie, że dałoby to nam wiele nowego, interesującego materiału do dalszych rozważań i dociekań filozoficznych?

- Powiedziane jest: "Nie będziesz opuszczał Świata, albowiem Pustka Zewnętrzna nie jest dla Istot Żywych! Albowiem kto Świat Nasz opuści, Śmierci umrze, a inni umrą z nim wspólnie!" - odezwał się po raz pierwszy Maudr i zamilkł.

Zapanowała cisza. Po chwili dopiero Iti odważył się wystąpić w obronie swego projektu:

- Oto macie przykład, jak przesady, powiedziałbym nawet zabobony hamująco wpływają na rozwój twórczej myśli! Bo czymże jest Śmierć, o której mówi Maudr? Czy znamy takie zjawisko? Czy ktokolwiek "Śmiercią umarł" w Naszym Świecie, jak sięgniemy pamięcią? Jaki sens ma straszenie nas jakąś wymagowaną karą Śmierci za dociekliwość i rozszerzanie wiadomości o Naszym Świecie?

- Nie sprzeciwiaj się, bracie, nauce Starego Człowieka, która dana nam jest abyśmy bezpiecznie osiągnęli cel Wielkiego Powrotu do Wielkiego Świata! - przemówił Maudr.

- W takim razie niech wolno nam będzie otworzyć Zamknięte Drzwi! - wystąpił Eso. - Wtedy dam wam dowód, że Głosy można wyjaśnić zupełnie naturalnymi przyczynami!

- Powiedziane jest: "Nie otworzysz Drzwi Zamkniętych, dopokąd Jasny Krąg nie przesłoni dziesiątej części Wielkiego Oka" - przemówił Maudr po raz trzeci. - Mózgi wasze nie są bowiem napełnione wiedzą o Wielu Tajemnicach, które przekazał mi Stary Człowiek, zanim odszedł! Dopiero gdy Jasny Krąg przesłoni dziesiątą część Wielkiego Oka, będzie mi

wolno oświecić umysły wasze światłem wiedzy, abyście mogli przygotować się na przyjsięc Nowego Źycia! Jedno wam rzekę ku pokrzepieniu serc waszych istnieje cel Naszego Istnienia! Odchodząc, Stary Człowiek dał mi Tajemnicę Drzwi Zamkniętych! Za tymi Drzwiami znajdują się ukryte przed nami Skarby Wiedzy o Innych Światach! Naszym przeznaczeniem jest przebyć wraz z nimi Drogę Wielkiego Powrotu i przekazać je Istotom Nam Podobnym, na których Obraz i Podobieństwo uczynieni jesteście! Istoty owe zamieszkują Wielki Świat, ku któremu Nasz Świat ustawicznie zmierza. Patrzcie w Wielkie Oko, albowiem w nim ujrzycie zapowiedź Końca Wielkiego Powrotu. Czas nasz się zbliża. Wierzcie słowom moim, a będzie wam dane Odpocznienie po Wielkim Powrocie, a ono Nagrodą wam będzie! Słuchajcie głosu mego, a zaleceń mych uważajcie, abyście Śmiercią nie pomarli!

- Co za upadek umysłowy! - burknął Eso do Itiego - chodź, nie dajmy się otumanić "proroczym wizjom" tego starego durnia!

Wyczołgali się obaj pospiesznie, o ile pozwalały im na to obwisłe brzuchy, na Główny Korytarz, aby zaczerpnąć czystego powietrza w pobliżu Wielkiego Regeneratora...

- Czy sądzisz, Eso - zagadnął Iti, gdy obaj legli wygodnie, umieściwszy końce Rurek Pokarmowych w ustach - że naprawdę nie ma nic ponadnaturalnego w Naszym ani w Innych Światach? A gdyby tak jakkolwiek fakt zaprzeczył wyraźnie twojej teorii? Gdyby zaprzeczył któremuś z Praw Naszego Świata? Gdyby spełniło się cokolwiek z przepowiedni Maudra?

- Nie wierzę, aby coś takiego miało zaistnieć, a gdyby nawet zaistniało, uważałbym to za rozszerzenie praw rządzących Obiektywną Rzeczywistością. Jasne jest, że nasza Wiedza nie ogarnia jeszcze wszystkiego, co jest możliwe w Naszym Świecie! A jeśli chodzi o spełnienie się przepowiedni... uznałbym to za przypadkowy zbieg okoliczności, za coś zupełnie przypadkowego...

- Wiesz? Chciałbym popatrzeć w Wielkie Oko! - zaczął po chwili Iti. - Dawno tam nie byłem! Wiesz przecież, jak trudno jest przebyć drogę do Wielkiego Oka i Zamkniętych Drzwi! Nasz Wzrost Wszerej staje się ostatnio niepokojąco szybki!

- Nie ma powodów do niepokoju! Gdybyś w swoim czasie słuchał uważnie mojej Teorii Rozwoju Istot Rozumnych, wiedziałbyś że takie jest właśnie ogólne prawo Wzrostu! Istota Rozumna w swym osobniczym rozwoju przechodzi kolejno fazy następujące: najpierw jest niewielka, w miarę wydłużona, w miarę okrągła. Potem wzrasta wzdłuż i wszerej, podczas gdy równocześnie powstaje w niej Zdolność Postrzegania Zjawisk. W następnej fazie Istota, wraz z dalszym Rozrostem We Wszystkich Kierunkach, nabywa zdolności Logicznej Analizy Zjawisk, zatracając równocześnie zdolność poruszania się za pomocą Czołgania i Pełzania. W

fazie tej, będącej przejściem do ostatniej, najdoskonalszej i najwyższej formy bytu, Istota powinna nagromadzić maksimum faktów i spostrzeżeń oraz dokonać wstępnej ich analizy. Gdy to się stanie, winna umiejscowić się w bezpośredniej bliskości Wielkiego Regeneratora, który zapewnia stały dopływ Pokarmu, i rozpocząć właściwy Proces Poznania Umysłowego, który jest jedyną treścią i celem Istnienia! Nastąpi wówczas faza ostatnia. Istota stopniowo przyjmie najdoskonalszą z możliwych Formę Kulistą. Niepotrzebne już organa ruchu ulegną zanikowi, a Istota, odżywiana przez Regenerator, w ciągu Nieograniczonego Długiego Czasu rozwiąże zagadkę Bytu, przez co osiągnie zadowolenie ze swego istnienia!

- To naprawdę piękne! Ale... co będzie dalej?

- A po cóż się nad tym zastanawiać? To stanie się aktualne dopiero w Bardzo Dalekiej Przyszłości, zresztą, jak rzekłem, na zastanawianie się będzie dość czasu w Formie Kulistej!

- Jednak wybiorę się w kierunku Wielkiego Oka! Większy zasób informacji nie zawadzi! Czy wybierzesz się ze mną?

- Raczej nie... - zawahał się Eso. - Czuję, że już niedługo wejdę w ostatnią fazę rozwoju. Moja Kulistość w ostatnich czasach stała się nader wyraźna. A moja wiedza o Naszym Świecie nie wymaga już chyba uzupełnień... Wolę pozostać tu, przy Regeneratorze...

- Czy nie pomyślałeś nigdy, że nasze obłe kształty mogą być skutkiem nadużywania Pokarmu?

- Bzdury! Przecież Regenerator dostarcza nam Pokarmu w nieograniczonych ilościach! Czy sądzisz, że Nasz Świat mógłby działać przeciwko nam? Przeciwno Właściwemu Kierunkowi Rozwoju? Jem, gdy mam ochotę, to znaczy dużo i często - widocznie takie jest prawo rządzące Naszym Światem! Częste korzystanie z Regeneratora przyspiesza Proces Zaokrąglania, a długie wycieczki na pewno go opóźniają. Dlatego, jeśli chcesz uzyskać prędko Formę Doskonałą, nie wążaj się, lecz raczej Leż i Kontempluj!

- Sam mówiłeś, że należy gromadzić jak najwięcej spostrzeżeń podczas Fazy Poznawczej! Udaję się więc na Wyprawę Ku Wielkiemu Oku, skoro już Maudr tak stanowczo sprzeciwił się wyprawie Poza Nasz Świat!

Iti popelzł Korytarzem, Eso pozostał, wśród drzemki ssąc z lubością koniec Rurki Pokarmowej.

Obudził go głośny okrzyk Itiego. Otworzył leniwie oczy i omal nie usiadł z wrażenia: Iti poruszał się niezmiernie szybko, używając do tego tylko d w ó c h kończyn, jedynie od czasu do czasu pomagając sobie pozostałymi dwiema! To było niesłychane! Od bardzo dawna Eso nie widział czegoś podobnego!

- Jest! Jest Wielki Jasny Krąg! Zajmuje już prawie dziesiątą część Wielkiego Oka!

- Co? Co ty pleciesz? Czy jesteś tego pewien? - wypytywał Eso oszołomiony.

- Możesz się sam przekonać - rzucił Iti i, podskakując zabawnie, pobiegł wieścić nowinę pozostałym.

Maudr uniósł się na drżących dłoniach:

- Oto słyszycie Wielką Nowinę! Z ust największego z niedowiarków ją słyszycie! Spełniło się, co rzekł Stary Człowiek! Tak też spełni się wszystko, reszta Prawd Tajemnych, które On nam obwieścił! Wielki Krąg wzrastał będzie odtąd i potężniał, aż przesłoni całe Wielkie Oko... Wtedy nadejdzie Koniec i Początek! Odrzućcie wszelką myśl wąpiącą, albowiem prawdę samą mówił wam będę!

Przed Bardzo Długim Czasem z Wielkiego Świata, gdzie Istoty Nam Podobne zamieszkiwały, Nasz Świat wyruszył w drogę do Innych Światów. My nie istnieliśmy jeszcze w czasie onym. W podróż wyruszyli Rodzice Nasi. A Skarby Wiedzy przywieźć mieli oni z Innych Światów... Z Rodziców Naszych, na obraz ich i podobieństwo - my powstaaliśmy... Oni dotarli do Innego Świata, lecz przed powrotem samym w Innym Świecie zaginęli... Został tylko Stary Człowiek i my, lecz Świadomość nasza uśpiona była. Ja tylko byłem naówczas zdolny Cokolwiek Pojmować i mnie Stary Człowiek czuwać nad wami i Naszym Światem przykazał i doprowadzić was do Wielkiego Świata polecił. I rzekł jeszcze, że Tam, Skąd Się Nie Powraca, odejść musi w Czasie Niedługim... I rzekł mi rzeczy wiele, o których mówił wam będę... A skończywszy, poruszać się przestał. A po czasie Dość Długim, gdy nieporuszony trwać nie przestawał, jako mi uprzednio przykazał, ciało jego do Wielkiego Regeneratora wrzuciłem... A my, z Wielkiego Regeneratora pokarm pożywając, Jego Ciało także pożywamy pod postacią Substancji Odżywczych!...

Jasny Krąg przesłonił Wielkiego Oka część dziesiątą. Cóż nam czynić przystało? Przez Bardzo Długi Czas, gdy poza Wielkim Światem przebywaliśmy, Czas o Wiele Dłuższy w nim upłynął...

- Jakże to możliwe, by Czas płynął inaczej w dwóch Odległych Punktach? - przerwał Eso, który tymczasem niepostrzeżenie wczuł się do Sali.

- Milcz, nie przerywaj - warknął Iti, który, teraz, przy-sunawszy się bliżej Maudra, łowił każde jego słowo, niepomny swych niedawnych wystąpień - mów dalej, Mistrzu!

- Azaliż wszystko, co Zdolność Pojmowania twego przekracza - Maudr zwrócił się łagodnym tonem do Eso - nieprawdą być musi? Jest wiele tajemnic, których zgłębić niezdolna żadna Istota Naszego Świata. Wśród tajemnic owych jest i ta, a objawił ją Stary Człowiek i nazwał "einsteinaparadox"...

Eso zamilkł, a Maudr ciągnął dalej:

- Tak, jako rzekłem, nie ma teraz w Wielkim Świecie Istot obecnych przy wyruszeniu Naszego Świata w Wielką Podróż... Odeszły one Tam, Skąd Się Nie Powraca... Tak mówił Stary Człowiek, choć sensu słów jego pojąć nie umiemy... Odejście oznacza Koniec Ruchu, może nawet Koniec Istnienia!

- To niemożliwe! Nie może być Końca Bytu! Istnienie jest przecież wieczne! - ostro, jakby ze strachem zaproponował Iti.

- Nie jest, jako mówisz! - odparł Maudr powoli. - Stary Człowiek rzekł: "Byt wiecznym jest, lecz coraz to nowe Istoty wypełniają go, powstając ze starych, które odchodzą. Jako my powstaliśmy z Rodziców naszych, a Oni odeszli"...

- Nie pamiętamy przecież, aby kiedykolwiek z któregoś z nas powstała Nowa Istota! - zauważył Yox.

- To niczego nie dowodzi! - odparł Tako. - Być może, że w Naszym Świecie brak jakiegoś Istotnego Elementu, koniecznego do powstania Nowych Istot! Nie zapominaj, że według słów Maudra Nasz Świat stanowi jedynie część Wielkiej Całości, od której kiedyś się oderwał. Zjawiska mogą w pełni występować jedynie w naturalnym zespole niezbędnych warunków...

- Światłe są słowa twoje - poparł go Maudr - albowiem Pełnię Życia Istota osiągnąć może dopiero w Wielkim Świecie, który jest jej do bytowania przeznaczony. Gotujmy się na Powrót do Obiecanej nam Ziemi, która krąży wokół Jasnego Kręgu, a on daje jej Życie. A imię jego SOL... O tym także Stary Człowiek pamiętać mi przykazał: aby, gdy Istoty z Ziemi przemówią do nas w Sali Za Zamkniętymi Drzwiami, to choćby treść ich słów niezrozumiała nam była, odpowiedzieć mamy zaklęciem, którego Stary Człowiek wyuczył mi się przykazał: "TUARGOPRZEJMIJCIEPROWADZENIE". Słowa te wypowiedzieć mam trzy razy...

- A gdyby Głosy z Ziemi nie odezwały się, nim Jasny Krąg przesłoni Wielkie Oko? - trwożnie zapytał Oak.

- Naonczas znak to będzie, że Istot Nam Podobnych na Ziemi już nie ma... A wtedy rzec mi przykazał Stary Człowiek do Wielkiego Koordynatora, którego z Sali Za Zamkniętymi Drzwiami poznamy po mnóstwie mrugających Oczu, zaklęcie inne...

- Jakie?

- Tego zaklęcia wypowiadać bez potrzeby nie wolno!

- I co stanie się wówczas?

- Naonczas nastąpi Wielki Ruch i Siły Wielkie wstrząsną Naszym Światem... I Wielkiego Świata nie dane nam będzie oglądać... A Wielki Krąg SOL ustąpi z Wielkiego Oka

i ujrzymy w nim na powrót Niezliczone Światła a zguba przeznaczona nam będzie i Śmiercią pomrzemy, nie ujrawszy Wielkiego Świata...

Stali na czworakach, oszołomieni. Dziwna ściana, migocąca mnóstwem świateł, hipnotyzowała, przykuwała ich wzrok... Maudr, który przed chwilą właśnie sobie tylko wiadomym sposobem otworzył przed nimi Zamknięte Drzwi, nadśluchiwał bacznie. Z powodzi trzasków i szumów, dochodzących gdzieś z wysoka, dobiegały dźwięki w niczym nie przypominające Mowy Istot... Na ścianie naprzeciw widniało kilka Wielkich Oczu, o wiele większych od tego, które znali z Głównego Korytarza... Na jednym z nich widniał Wielki Jasny Krąg Sol... Powiększał się coraz bardziej... Jednak żaden Głos nie ozwał się w Sali.

Nagle, na jednym z Wielkich Oczu ukazał się punkt, świecący jaśniej niż pozostałe... Wszyscy wlepili oczy w ten punkt... Przybliżał się, rósł i nabierał mocy... Nagle oderwał się od niego mniejszy punkt i szybko zaczął się przybliżać...

Żadne Głosy nie odezwały się w Sali...

Maudr, wsparty na obu dłoniach, drżącym głosem wyrzucił z siebie niezrozumiałe zaklęcie:

- "Zmianakursuostoosiemdziesiątstopni!"

Gwałtowna zmiana przyspieszenia rzuciła nimi o ściany sterowni.

Metoda doktora Quina (brak)

Apetyt na śliwki (brak)

Dyżur

W ciągu pierwszych czterech godzin panował względny spokój. Około ósmej wieczorem wypadł cały człon równań parastatycznych, ale rezerwa była na miejscu.

Tin miał rację: to zupełnie głuchy kąt. Martwa studnia, z której nikt nie czerpie - pomyślał Albert i przymknął oczy. - Można właściwie spać...

Nie kładł się jednak, choć odchylone oparcie fotela kusiło zgięte nad pulpitem plecy. Spojrzał na ścianę kontroli. Świeciła blado na jałowym prądzie gotowości, nie zarysowana żadnym czynnym przebiegiem.

Ciekawe, kiedy ostatnio zagłądano do funkcji Yogla - zas-tanawiał się dalej. - Po co to komu potrzebne? Manowce współczesnej matematyki...

Poczuł, że chętnie wypije szklanekę mocnej kawy. Zajrzał do szuflady, lecz znalazł tam tylko kilka pustych pudełek od papierosów i dużą blaszankę z cukrem. Kawy nie było ani śladu, choć przysięgłby, że dwa dni temu schował tam całą paczkę. W koszu na śmieci leżało puste opakowanie.

Tin, jak zwykle, wykończył wszystko. Znów miał niespodziewanego gościa, pewnie tą blondynkę od Schrodingera - pomyślał Albert z irytacją i wstał

Wolnym krokiem obszedł labirynt stojaków panelowych, ogarnął spojrzeniem zakamarki swego sektora, przełączył kontrolę na automat przyzewowy i wyszedł z dyżurki na korytarz.

Zwykły dźwig był zajęty, pojechał więc pośpieszonym na poziom minus dwadzieścia i tam, dwukrotnie zmieniając kierunek, dotarł ruchomymi chodnikami do punktu 28-14, skąd już bez trudu złapał windę na minus trzeci. Wysiadł na korytarzu sekcji operatorów różniczkowych, przeszedł pieszo kilkanaście kroków, a potem wskoczył na taśmę ciągu międzysektorowego. Kolo szybu windy alarmowego dostrzegł Klause, stojącego na końcu kilkuosobowej kolejki. Klaus dźwigał pod pachą ogromny zwój perforowanej taśmy.

- Co niesiesz? - Albert zeskoczył z transportera i podeszedł do niego.

- Diabli wiedzą - mruknął Klaus. - Nie mamy łączności z konwertorem binarno-dekadowym, a jakiś ważny profesor piekli się od dwudziestu minut, że to bardzo pilne. Muszę lecieć do konwertora, a tu - zobacz, co się dzieje: nawet awaryjny dźwig wciąż przepełniony!

Albert pokręcił głową.

- A niech cię... Przecież mogłeś przekazać tranzytem przez którykolwiek z sąsiednich sektorów.

- Myślisz, że byłoby szybciej? - zafrasował się Klaus.

- Na pewno. Ale jeśli już się z tym wybrałeś piechotą, to nie stercz tu jak głupi i nie czekaj na ten dźwig. Przyzwyczaj się nareszcie, że w tym potworze najprostsze drogi nie są najkrótsze. Skacz na transporter i jedź do kwadryk tensorowych albo do całek elementarnych tam mniejszy ruch.

- Nie pomyślałem o tym... - Klaus odstąpił kilka kroków od wejścia windy. - Spróbuję...

Kilka osób z kolejki, udających się widać w tym samym co Klaus kierunku, skorzystało również z porady Alberta, który, zadowolony z siebie, ruszył w stronę bufetu stanowiącego właściwy cel wyprawy.

Nie minie rok, dwa a wszystko się zatka na amen - myślał idąc korytarzem. - Te dźwigi stanowią wąskie gardło całej komunikacji wewnętrznej. Poziome ciągi wystarczą jeszcze na trochę, ale windy już ledwie zipią. A tam na dole poniżej dwudziestego pierwszego ujemnego znowu coś nowego budują. Grzebią podobno trzy dalsze poziomy dla analizy hiperpolarnej. Od góry też dobudowują, a jakże! Nawet nie przychodzi im do głowy, jak się tu ludzie męczą. A i łączność coraz gorzej działa: co za paradoksy, żeby latać z bębami taśmy jak za króla Ćwiczka piechotą!

W bufecie był ścisk i szaro od dymu papierosowego. Po chwili dopiero spośród gwaru rozmów Albert wyłowił przyczynę tego niezwykłego zgromadzenia: na minus szesnastym popsuła się klimatyzacja i wszyscy technicy kontroli z tego poziomu przyszli tu na herbatkę. Przed automatem stała długa kolejka.

Dobrze że tylko wentylacja - pomyślał Albert ustawiając się na końcu. - A gdyby tak... pożar? To musi nastąpić, nie wcześniej, to później, przy tym całym bałaganie... Projektanci jak zwykle nie mieli pojęcia o warunkach eksploatacji takiej gigantycznej maszyny. Wydawało się, że to będzie cud techniki, wyszedł zaś jeden wielki młyn. Aż dziw, że wszystko jeszcze działa tak sprawnie... No, to znaczy względnie sprawnie, przynajmniej dla kogoś, kto ma z tym do czynienia z zewnątrz i niezbyt często. W środku, gdy człowiek popracuje kilka godzin, ma wrażenie, że zmienił się w jedną z tysięcy mrówek wielkiego mrowiska. Żyjemy tu jak bakterie w trzewiach olbrzyma: gdyby nie my, dostaliby szybko zatwardzenia z niestrawności, karmiony wciąż tą przeraźliwą sałatką pytań, problemów i zagadnień, które stawiają mu ludzie z zewnątrz... Szczególny rodzaj symbiozy człowieka z maszyną: chwilami odnoszę wrażenie, że to on nami zawładnął, że to my bez niego nie potrafimy się obyć. Z drugiej strony jednak i on bez nas byłby bezradny.

Automat wypluł z siebie torebkę pachnącej świeżo zmielonej kawy. Albert schował ją do kieszeni i wyszedł szybko na korytarz. Tu dopiero z ulgą odetchnął świeżym powietrzem po dymnej atmosferze bufetu.

Wracał znowu okrężnie. Miał tu swoje wypraktykowane systemy optymalnego poruszania się: pojechał przez blok pamięci operacyjnej i zespół macierzy unitarnych: omijając ruchliwe okolice sekcji równania Schrodingera. Oszczędzało to wiele czasu, eliminując oczekiwanie przy windach najbardziej uczęszczanych torów.

Na trzydziestym stanowisku w algebrach nieliniowych powinna dziś dyżurować Erika. Albert zawahał się, stanąwszy przed drzwiami trzydziestki, ale zdecydowanym ruchem nacisnął wreszcie klamkę i pchnął je energicznie.

We wnętrzu przed pulpitem siedział chudy brunet. Erika zeskoczyła właśnie w pośpiechu z jego kolan i podbiegła do jednego ze stojaków przy ścianie udając, że wymienia przepalony podzespół. Na tablicy jednak - jak na kpinę - nie palił się ani jeden sygnał uszkodzenia i Albert bez trudu pojął sens tego manewru. Oblała go fala gorącej złości.

- Ty, Apollo! - rzucił przez zęby w stronę chudego. - Pilnuj swoich funkcji kulistych Greena, bo ci się pod szafę poturlają!

Trzasnął drzwiami i ruszył w stronę dźwigu, który zaniósł go na minus dziewiąty. Już na korytarzu, gdy znalazł się w obwodzie lokalnej pętli indukcyjnej, w kieszeni kombinezonu zabzykał mu czujnik przyzewowy.

Co u licha? - pomyślał z niepokojem. - Kogo tam diabli przynieśli?

W dyżurce na pulpicie migąło żółte światło.

Albert podjął słuchawkę.

- Kontrola, słucham!

W słuchawce brzmiał męski głos, pełen niecierpliwości i irytacji:

- Co się tam u was dzieje? Już od czterech minut czekam na rozwiązanie!

- Problem? - rzucił Albert beznamiętnym głosem, sięgając po ołówek.

- Równanie Tenta-Rossa.

Albert rzucił okiem w kierunku odpowiedniego stojaka. W bloku szóstym na czwartym panelu od góry błyszczało rzędkiem pięć czerwonych światełek.

Cholera! - pomyślał Albert. - Lecą, ścierva, jak ulęgałki! To przez ten automatyczny montaż mikromodułów. Partactwo!

- Proszę czekać! - burknął do słuchawki.

- Długo jeszcze? - niecierpliwił się głos w telefonie. - Ja mam pierwszeństwo czwartego stopnia! Ja nie mam czasu! Ja...

Albert nie słuchał dalej. Podeszedł do stojaka rezerwy, powiódł dłonią po przegródkach i zaklął siarczyście.

Ani jednego członu całkującego równanie Tenta-Rossa! Rozkoszny chłopaczek z tego Tina. Zostawia stanowisko bez rezerwy elementów wymiennych i nawet nie raczy odnotować tego w dzienniku!

Wrócił do stołu kontroli i z wahaniem podniósł słuchawkę.

Ten tam ważniak wścieknie się do reszty - pomyślał. - Pierwszeństwo czwartego stopnia! Wielkie mi coś! Tacy są najgorsi, bo im się wydaje, że są strasznie ważni; mają kompleksy, bo nie wolno im korzystać z ekstralączy przysługujących dopiero od piątego stopnia w górę.

- Podać parametry! - rzucił energicznie, by nie dopuścić do dalszych narzekań tamtego.

- Ce-jeden: 13,725. Ce-dwa: 24,85. Człon wariacyjny: funkcja Yogla drugiego rodzaju, wskaźniki trzy i pięć - odparł jękający się z niecierpliwości głos.

Albert notował.

- I szybko, szybko! Do czego to podobne, żeby...

Albert wziął ołówek, wypisał rozwiązanie ogólne z pamięci, stałe wynotował z tablic. Podstawił wszystko do równania i sięgnął po suwak. W ciągu trzech minut miał gotowe rozwiązanie. Wypisał je na kartce, a potem podyktował oczekującemu.

- To skandal! - zaryczał w odpowiedzi tamten. - Jak to przekłete pudło pracuje! Dziewięć minut oczekiwania na rozwiązanie głupiego problemu.

Albert był wściekły. Nie dość, że rozwiązał idiocie równanie, ten jeszcze się piekli!

- Zamknij się, baranie! - syknął w mikrofon i trzasnął słuchawką.

Zmiał kartkę z obliczeniem i cisnął do kosza. Nacisnął klawisz interkomu i powiedział:

- Element AMB733 dla Sektora Yogla, dziesięć sztuk!

- Przyjęto! - odparł magazyn.

Telefon zamiejscowy zaterkotał krótko.

- Czy to kontrola?

- Tak, kontrola - mruknął Albert, poznając głos rozmówcy sprzed kilku minut.

Będzie awantura! - pomyślał nastrajając się odpowiednio.

Głos w słuchawce brzmiał jednak nad wyraz grzecznie.

- Bardzo przepraszam, czy to automat, czy... kontroler?

- Kontroler.

- Ach... Bardzo pana przepraszam... Ja... myślałem, że mówię z automatem...

- Trzeba panować nad sobą, mój panie! - Albert wsiadł na niego z góry, bo to jedyny sposób na takich niecierpliwych. - Scientax to nie jakaś głupia centrala telefoniczna! To maszyna mądrzejsza od niejednego człowieka! Czasami ma prawo być w niedyspozycji.

- To pan... sam rozwiązał to równanie?

- Sam.

- W takim razie jeszcze raz przepraszam i bardzo dziękuję! Doprawdy myślałem, że mówię z automatem. Pan umie rozwiązywać takie równania? - W głosie jego brzmiał nie tajony podziw.

- I nie tylko takie!

- To jeszcze raz dziękuję i przepraszam!

- Dobra, w porządku! - mruknął Albert, uśmiechając się sarkastycznie. - Do usłyszenia
Odłożył słuchawkę, wstał i nalał do szklanki wody z kranu. Włączył grzałkę. Klapka, zamykająca kanał pneumatycznego podajnika, odskoczyła. Na stół wypadła paczuszka. Albert rozpakował ją i wydobyl zamówione przed chwilą mikroelementy. Pięć z nich umieścił na miejscu przepalonych, pozostałe zaś - w stojaku rezerw.

Woda w szklance zawrzała, wsypał do niej kawę i przykrył spodkiem. Przygotował łyżkę i puszkę z cukrem. Oparty łokciami o stół, patrzył tępo w wygaszoną wciąż ścianę kontroli. Ani jedna operacja nie zahaczała nawet o ten sektor.

Martwa studnia! - pomyślał raz jeszcze.

W tej samej chwili drzemiącą ścianą kontroli przebiegł świetlny dreszczyk. W lewym górnym rogu zapłonęła zielona, pełznąca ku środkowi kreska światła. Jak nieprawdopodobnie długa dżdżownica przebiła kilka zapalających się przed nią jasnych krążków z nawłóklszy je na siebie, czołgała się dalej, skręcając co chwila pod kątem prostym w lewo lub w prawo. Albert śledził bez zbytniego zainteresowania schemat analogowy rachunku.

Elementarny problem Slotu z jednym parametrem urojonym - ocenił machinalnie i ziewnął.

Znał na pamięć wszystkie stereotypy rozwiązać problemu Slotu aż do czternastego stopnia włącznie.

Ludziom zupełnie nie chce się poruszać mózgiem - zakonkludował w myślach. - Z byle głupstwem zaraz lecą do Scientaxu, jakby to była informacja kolejowa. Odkąd dopuszczono telefoniczne łączenie z każdego domowego aparatu, wszyscy nagle zapomnieli, czemu się równa druga pochodna z iksa i temu podobne trywialne historie...

Telefon zewnętrzny. W słuchawce głos jakiegoś dziecka.

- Kontrola? Proszę pana, ja pytałem, ile to jest siedem razy osiem i nie dostałem odpowiedzi...

- Pomyłka - powiedział Albert bezmyślnie. - Zadzwoń trzy zera, dwie ósemki, do pionu algebry, sekcja numeryczna.

Odłożył słuchawkę i pomyślał po chwili, że właściwie krócej byłoby powiedzieć pięćdziesiąt sześć.

Zaraz... - zastanowił się. - Pięćdziesiąt sześć? Czy aby nie sześćdziesiąt pięć? Nie, dobrze: pięćdziesiąt sześć. Mogłem mu właściwie powiedzieć. Ale, do diabła, to nie należy do moich obowiązków, nie płacą mi za to. Kontroluję sektor funkcji pseudopolimorficznych, a nie tabliczkę mnożenia!

Sięgnął po kawę, lecz zadzwonił telefon wewnętrzny. Podniósł słuchawkę i zaraz się najeżył. To Erika...

- Albert? - powiedziała słodko. - Zajęty jesteś bardzo?

- Cholernie - powiedział zimno.

- Nie wpadłbyś na kawę?

- Nie wpadłbym. O, właśnie wyskoczył człon negacyjny, muszę wymienić! - powiedział i odłożył słuchawkę.

Żaden człon oczywiście nie wypadł.

- Bezczelna! - warknął półgębkiem.

Ujął w rękę mikrofon dyspozycji służbowej, przechylił się na ukośnie opuszczone oparcie fotela i popijając kawę powiedział:

- Służbowo, z bankiem pamięci. Wydział muzyki klasycznej, wiek dwudziesty.

Przymknął oczy i rzucił automatowi, który się po chwili zgłosił:

- Gershwin: Błękitna Rapsodia.

Nie. Muzyka też go denerwowała. Kazał przestać, zamilkła nagle. Za to na stole rozdzwonił się telefon.

- Profesor Ambro - mówił spokojny uprzejmy głos. - Nie mam połączenia z trzecim kanałem specjalnym. Pierwszeństwo siódmego stopnia. Może pan łaskawie coś zrobi, by mi pomóc. To dość ważne...

Albert miał już powiedzieć że nic nie może poradzić, ale... siódmy stopień... Lepiej się nie narażać, mogłyby być nieprzyjemności. Sprzęgł więc linię, na której "siedział" profesor, z awaryjnym kolektorem uniwersalnym i włączywszy się na trzeciego z mikrofonem, powiedział..

- Siódmy stopień, spec-trzy, zastępczo dla linii zewnętrznej.

- Tor gotów! - szczechnął automat.

- Proszę programować, panie profesorze! - powiedział Albert do mikrofonu i odstawiwszy mikrofon na stół, ułożył się wygodnie w fotelu.

Erika mąciła mu spokój. Co ta idiotka sobie wyobraża? Pomyślał, że to cholerne nieszczęście trafić na taką.

Raz jeszcze rzucił okiem na tablicę. Oprócz tranzytowego przebiegu profesora Ambro nie paliło się nic więcej. Po chwili w rogu ekranu i nieśmiało jakby i z wahaniem zapłonęła zielona linijka, ominęła jednak sektor Alberta, penetrując sąsiednie pola, by wreszcie zniknąć jak zdmuchnięta.

Zniechęcił się... - pomyślał Albert. - I słusznie. To wszystko nie ma najmniejszego sensu.

Sam nie wiedział, do czego ma się to stwierdzenie odnosić, jednak natarczywe wrażenie bezsensu wyzierało zewsząd - z tysięcznych powtarzających się monotonicznie bloków pamięci operacyjnej, z pogaszonych ekranów, z pustki przejść i korytarzy. Nie po raz pierwszy zadawał sobie pytanie, dlaczego siedzi tu, we wnętrznościach elektronowego supermózgu, dziewięć kondygnacji pod powierzchnią ziemi, spełniając podrzędne funkcje konserwacyjno - kontrolne.

Dlatego - odpowiadał sobie natychmiast - że jestem inżynierem informacji. Gdybym był technikiem, biegałbym jak Klaus z taśmami na posyłki, gdy się łączność zablokuje...

Chcąc rzecz ująć głębiej od korzeni i historycznie, należało stwierdzić, że siedział tu dlatego, bo kiedyś tam kilku mądrych doszło do wniosku o nieopłacalności lokalnych maszyn matematycznych i logicznych. Stąd powstała idea jednej supermaszyny, koncentratu ludzkiej wiedzy, centralnej biblioteki wszystkiego, co człowiek stworzy i wymyślił.

Trudności informacyjne zaczęły występować już znacznie wcześniej. Był to przede wszystkim ów słynny efekt Lema-Parkinsona: wzrostowi ilości zapisywanych wciąż w annałach i miesięcznikach, dziennikach wreszcie informacji naukowych towarzyszyły narastające trudności związane z odszukiwaniem w ocenie faktów tego zagadnienia, które akurat było przedmiotem zain-teresowania. Innymi słowy, ze wzrostem ilości akumulowanej wiedzy malały możliwości korzystania z niej. Rozpoczynając badania jakiegoś problemu uczony nie miał nigdy pewności, czy nie wyważy otwartych już przez kogoś drzwi. Zebranie pełnej bibliografii jakiegoś wąskiego nawet tematu pochłaniało wiele godzin pracy całego zespołu naukowców i wymagało przewertowania setek cza-sopism i książek. Wydawane wielkim nakładem pracy i kosztów wyciągi, streszczenia, bibliografie ogólne i szczegółowe przestały spełniać swe zadanie wraz z coraz dalej posuwającą się specjalizacją

poszczególnych gałęzi wiedzy. Wkrótce pojawiły się już rejestry streszczeń i wyciągi z rejestrów, a wydanie katalogu wyciągów z rejestrów abstraktów stało się alarmowym sygnałem bliskiej katastrofy informacyjnej.

Wtedy właśnie powstał Centin, załóżek dzisiejszego Scien-taxu.

Centin był bankiem pamięci operacyjnej. Każdy, kto zamierzał podjąć badanie jakiegokolwiek zagadnienia, musiał uprzednio zameldować o tym maszynie. Jeśli problem był już przez kogoś rozpatrywany Centin kontaktował zainteresowanych: by me dublowali wysiłków, nie wiedząc o sobie nawzajem.

Idea okazała się płodna: Centin obrastał stopniowo w coraz to nowe funkcje, przerodził się w ogólnościową bibliotekę i kartotekę, zastąpił księgi ewidencyjne i stanu cywilnego, rozwiązywał problemy ekonomiczne, matematyczne i kosmologiczne.

Z tym rozrostem funkcji szedł w parze rozrost samej maszyny. Rozciągała się już na powierzchni dziesiątków kilometrów kwadratowych, sięgała w górę i w głąb ziemi na wiele kondygnacji i poziomów.

Scientax wkrótce pochłonie nas wszystkich! - zakonkludował Albert dopijając kawę. - Przyjdzie wreszcie taka chwila, że nie zdołamy ogarnąć tego, co dzieje się w jego wnętrznościach. Każdy zaopatrzony tylko w swój sektor, będzie służył jedynie temu molochowi i dbał o jego dobre samopoczucie, a on będzie za nas myślał... Może zaczniesz sam stawiać sobie zagadnienia i formułować programy? Licho go wie, czy w nim już teraz nie budzi się jakaś pierwotna świadomość? Może przytaił się, niepewny swych możliwości, i dyskretnie podsuwa konstruktorom pomysły dalszej rozbudowę.

Przez ścianę kontroli znów przebiegła drżąca, niepewna linijka. Narodzona nie wiadomo gdzie, we wnętrzu któregoś z bloków, przebiegła kilka sekcji i pulsując zgasła.

O, właśnie! To zdarza się coraz częściej. Jakies nie kontrolowane, samorzutne przebiegi, nie wiadomo czym wywołane - pomyślał Albert. - Proces zaczyna się w jakimś punkcie układu, przerzuca kilka operatorów do stanu wzbudzonego i zamiera... Czy to nie wygląda na przebłyski świadomości tego kolosa? Może zresztą to tylko... podświadomości?

Pogrążył się na powrót w swych niewesołych myślach. Przed pięćdziesięcioma laty byłby kimś ze swym dyplomem inżyniera. Teraz jest prawie niczym. Byłby dureń może go zbesztać, choć sam nie potrafi rozwiązać prostego równania, które dla Alberta nie przedstawia problemu. Ma taki facet wysokie stanowisko - z czwartym stopniem pierwszeństwa do korzystania z Scientaxu, a więc co naj-mniej docent albo dyrektor! - i znaczy coś w świecie. A on, Albert, musi tu wymieniać elementy elektroniczne, co z powodzeniem mógłby robić automat, gdyby...

Otóż właśnie! Gdyby nie fakt, iż uszkodzenia zdarzają się zbyt rzadko, by opłacało się budować specjalny automat do ich usuwania. Zajmowałby on tyle miejsca co cały obsługiwany przez ten sektor, nie mówiąc już o kosztach. Człowiek znacznie lepiej się opłaca: siedzi więc kilkanaście tysięcy takich jak Albert, wysoko kwalifikowanych specjalistów i wszyscy nudzą się jak mopsy. Mogłoby ich być od biedy sto razy mniej, tylko że wtedy żaden z nich nie ogarnąłby wzrokiem swego odcinka, a dotarcie do miejsca uszkodzenia zajęłoby mu zbyt wiele czasu. Uczni, korzystający z maszyny, nie mogą czekać! Jeden ważniejszy od drugiego a najweselsze rzeczy dzieją się, gdy spotyka się na jednym wejściu dwóch z siódmym stopniem pierwszeństwa. Prestiż nie pozwala ustąpić żadnemu i zrą się jak dzieci, choćby każdy z nich miał najgłupszy i nieważny problem do obliczenia...

O tych siedzących jak dziury w serze inżynierach nikt nie pamięta. Niektórzy nawet nic o nich nie wiedzą!

Człowiek jest dziś potęgą i zerem równocześnie - stwierdził Albert sentencjonalnie. - Od chwili gdy jednostkę zredukowano do numeru ewidencyjnego, zanotowanego w kartotece Scientaxu, człowiek znika prawie zupełnie z pola widzenia... Ten numerek zastępuje metrykę urodzenia i paszport... Tożsamość? Proszę bardzo: numerek! Każdy ma go na lewym przedramieniu, elegancko, bo nie widać, dopóki nie oświetli się ultrafioletem. Wtedy fluoryzuje i może go odczytać; a potem sprawdzić telefonicznie kto zaczął. A gdyby komuś zachciało się zmienić tożsamość? Nic z tego: drugi taki sam numerek ma na szyi, z tyłu, nieco poniżej linii włosów. Co niektórym, mającym te i owe grzechy na sumieniu, udawało się z lewym przedramieniem, teraz z szyją się nie uda. Chyba że razem z głową, ale to już inna sprawa: nie ma głowy - nie ma numerka, władza nie ma kłopotu.

Prawie wszystko o każdym wie to straszliwe gmaszysko.

Całe szczęście, że tylko prawie! - pomyślał. - Dobrze, że nie wie, co myślę o tej bezczelnej idiotce i co bym chętnie zrobił z tamtym chudym szczeniakiem, bo za same myśli dostałbym kilka lat karnego obozu na Hiperionie...

Albert uświadamiał sobie, że tkwi wśród ogromu zagęszczonej informacji, której nigdy nie potrafi ogarnąć umysłem, a gdyby nawet potrafił, to i tak nie będzie się czuł z tego powodu szczęśliwy...

Przewrócił się na drugi bok.

- Szczęście... - stęknął. - Nikt nawet dobrze nie wie, co to takiego i czym to mierzyć. Ciekawe, czy dałoby się sformułować matematycznie problem szczęścia... I czy te cholerne funkcje Yogla przydałyby się chociaż przy jego rozwiązaniu?

Zwrócił twarz w kierunku ściany kontroli.

- No? Co to jest szczęście, durny elektroimbecylu z przebłyskami autonomicznej świadomości? - rzucił wyzywająco i opadł na fotel.

Przypomniał sobie, że mówienie na głos do siebie jest pierwszym objawem "modnej" ostatnio formy zaburzeń psychicznych, lecz nie zmartwił się tym zbytnio. Było mu wszystko jedno.

To z przemęczenia - mruknął. - Z przemęczenia beczynnością.

Ściana kontroli jarzyła się, jak nigdy, miriadą rozbłysków i pulsujących linii. Albert wiedział, że śni. Na jawie nie spotykało się czegoś podobnego. Spokojnie, a nawet z zainteresowaniem śledził mrowie przebiegów i usiłował odgadnąć, jaki to program przetrawia właśnie maszyna z jego snu. Podobnie jednak, jak śniony tekst drukowany wymyka się zazwyczaj próbom odczytania, ożywając pod wpływem koncentracji uwagi śniącego i zmieniając się w rozsypankę bezsensownych słów, tak i obraz połączeń rozsnuwał się jak zerwana pajęczyna i przestawał cokolwiek znaczyć...

Brzęknął sygnał awarii. Dopiero gdy powtórzył się dwukrotnie, coraz głośniej i natarczywiej, Albert spostrzegł, że przychodzi z jawy, spoza kotary snu. Ocknął się i popatrzył półprzytomnie w głąb labiryntu paneli. Czerwone światło migało w obrębie zespołu sceptronów alternatywnych. A więc nie awaria, lecz brak decyzji, brak odpowiedniej informacji, pozwalającej rozstrzygnąć zadany problem... Jaki problem? Albert odwrócił się i spojrzał na ścianę kontroli.

Przeraził się. Zobaczył obraz ze swojego snu: starganą pajęczynę, sieć bezładnych na pozór sprzężeń, sięgających długimi wąsami łączy międzysekcyjnych hen, poza ramy objęte blokiem metanalizy... Jakiś potworny, monstrialny program, ogarniający wszystkie działy i poziomy Scientaxu, targał trzewiami maszyny. Oszalałe światła przeciążenia wybieraków drgały w nieustannej czkawce wielokrotnych przełączeń, usiłując podzielić się pomiędzy dziesiątki oczekujących na sprzężenie wejść z wyjść...

- A to co znowu? Kto wymyślił coś takiego? - zdumiał się Albert.

Z ciekawości włączył kontrolę wejść i... zamarł: wszystkie wejścia były wolne! Cały ten obłąkańczy taniec światel zrodził się we wnętrzu maszyny! Tu brał swój początek i zamykał się w obszarze elektromózgu!

Chyba... któryś z techników bawi się z nudów pro-gramowaniem! - pomyślał Albert, chwytając się z nadzieją tej myśli, by odsunąć od siebie absurdalne przypuszczenie, że stało się to najgorsze.

- Nie, już raczej jakiś inżynier. Co za potwornie wymyślny problem! Osiemdziesiąt pięć procent obwodów zaangażowało!

Wiedział jednak, że to zupełnie nieprawdopodobne: takie zabawy były przecież najsurowiej zabronione regulaminem. Chyba że ktoś z obsługi zwariował. Ktoś z obsługi albo... sam Scientax!

W tej chwili wzrok jego padł na stojący na stole mikrofon. Zimny dreszcz przebiegł mu po karku. Chwycił mikrofon. Był włączony.

- Profesorze Ambro!

Nikt nie odpowiedział. Ambro musiał skończyć już przedtem, a wszystkie wejścia były przeciek zablokowane.

- Kontrola główna! - ryknął do mikrofonu. - Kto programował ostatnie zagadnienie?

- Program z kolektora uniwersalnego na kanał trzeci specjalny, z absolutnym pierwszeństwem - odpowiedział automat.

- Jaki problem?

- Zdefiniować pojęcie "szczęścia" - odrzucił beznamiętnie automat.

Albert zerwał się z fotela i skoczył w kierunku awaryjnego wyłącznika.

- Proces logiczny zahamowany. Czy podać osiągnięty stan pracy? - rozległo się z głośnika.

- Cofam blokadę linii, cofam pierwszeństwo! Skaso...

Albert zawahał się.

- Nie kasować. Podać wyniki...

- Zanalizowano problem w płaszczyźnie ekonomiczno - społecznej, psychologicznej oraz z punktu widzenia literatury i sztuki - recytował głośnik. - Obfitość materiału wewnątrznie sprzecznego. Na podstawie literatury pięknej sformułowano trzysta sześćdziesiąt dwa tysiące pięćset dwie definicje, w tym ponad sto pięćdziesiąt tysięcy par zdań wzajemnie sprzecznych. W płaszczyźnie socjoekonomicznej odkryto osiemdziesiąt dwie klasy teorii dobrobytu, które to pojęcie można na podstawie pewnych źródeł uznać za dobry parametr mierzący szczęście. Matematyczny model zagadnienia biorący za podstawę, iż szczęście jest pierwszą pochodną stanu posiadania, zdefiniowano jako sigma od zera do nieskończoności z iloczynów potrzeb przez współczynniki ich zaspokojenia i przez współczynnik obiektywnej rzeczywistości tych potrzeb...

- Dość! - przerwał Albert. - Dość! I natychmiast skasować te brednie!

Maszyna zamilkła, Albert opadł na fotel i zamknął oczy.

Idiota ze mnie. Oto skutki bezmyślnego gadania przy otwartym mikrofonie na linii absolutnego pierwszeństwa! Nie myśleć, byle tylko nie myśleć... Jeśli ta maszyna dostaje obłądu od takich rozważań, to co dopiero człowiek... Przestać myśleć, niech myśli Scientax...

Wtopić się w niego, być jego częścią składową, elementem mikrofauny jego bebeczków...
Jeden człowiek nic już dziś nie potrafi...

Zgrzytnęła klamka. Albert nie odwrócił nawet głowy w stronę drzwi. Wiedział, że za chwilę odkryją, kto zajął na przeszło kwadras cenną maszynę, nakarmiwszy ją niechcący takim idiotycznym, absorbującym całą jej mądrość programem. Dziwne że nie przyszli wcześniej, by go stąd wyrzucić! A może... nie dostrzegli niczego? Ci otępiali kontrolerzy, każdy przed swą tablicą kontroli, nie ogarniający i nie rozumiejący tego, co odwzorowuje gra świateł i linii, uczuleni, jak doświadczalne psy, tylko na czerwony błysk awarii? Może nie zwrócili nawet uwagi, że zaszło coś niezwykłego?

Teraz dopiero odwrócił głowę. W drzwiach stała uśmiechnięta Erika.

- Wciąż się gniewasz? - spytała słodko.

Albert poczuł mdły smak w ustach. Miał wrażenie, że grzęźnie na powrót w topieli bagna, z którego chwilą przedtem zdołał wydobyć głowę. Nim otworzył usta, wiedział już, co odpowie wbrew własnej woli.

- Tylko trochę... - wykrztusił patrząc ponad jej głowę w otwór drzwi.

Konsensor (brak)

Kontakt (brak)

Towarzysz podróży

Pociąg ruszył powoli, - z ociąganiem jakby. Spojrzałem w okno. Wzdłuż peronu, jakieś dziesięć metrów za ostatnim wagonem, biegł spóźniony pasażer.

Był to pociąg dalekobieżny, z wagonami, których drzwi nie zamykały się automatycznie. Dzięki temu biegnący człowiek miał szansę. Lokomotywa rozpędzała się wolno. Spóźnialski pasażer włókł sporą i na oko ciężką walizkę, która obijała mu nogi. Przerzucony przez ramię płaszcz przeciwdeszczowy rozwiał mu się i plątał pod nogami. Stojąc w oknie przedostatniego wagonu obserwowałem całą scenę z zainteresowaniem kibica sportowego. Peron prawie się już kończył, pociąg przyspieszył, biegnący nie dawał jednak za wygraną. Musiało mu bardzo zależeć na tym właśnie pociągu. Tuż przed słupkiem z tablicą „Przeście zabronione” udało mu się dopaść ostatniego pomostu. Postawił walizkę na stopniu, otarł czoło wierzchem dłoni i otworzył drzwi wagonu.

Zamknąłem okno i usiadłem w pustym przedziale. Po chwili za szybą dzielącą mnie od korytarza ukazała się twarz nieznajomego. Zajrzał, wahał się chwilę, wreszcie otworzył drzwi i cichym głosem spytał:

- Pozwoli pan...?

- Proszę bardzo - odpowiedziałem obojętnie.

- Pociąg taki pusty - zaczął tonem usprawiedliwienia, lokując walizkę na półce. - Bardzo nie lubię podróżować samotnie. To przykre nie mieć do kogo ust otworzyć przez całą drogę.

- Owszem... - odburknąłem niezbyt zadowolony, bo nade wszystko nie lubię mówić, gdy nie mam na to ochoty, a sądząc ze słów nieznajomego, zanosilo się na przymusową pogawędkę.

Postanowiłem - jak zwykle zresztą w podobnych sytuacjach - że będę spał z głową ukrytą pod wiszącym w kącie płaszczem. Usadowiłem się wygodnie i zamknąłem oczy.

Słyszałem, jak mój towarzysz podróży lokuje się na miejscu naprzeciw mnie. Szeleścił przez chwilę papierami. Nie potrafiłem powstrzymać się od wyjrzenia spod płaszcza. Na stoliku, zamiast spodziewanych jajek na twardo i kanapek w zatłuszczonym pergaminie, zobaczyłem plik zapisanych odręcznie arkuszy. Na pierwszy rzut oka wyglądały na jakąś pracę matematyczną.

Nieznamy, pochylony, przeglądał je z uwagą, znacząc coś ołówkiem na marginesach. Był w średnim wieku, miał dość niskie czoło, nad którym rozsypywały się bujne, szpakowate włosy.

Podniósł oczy i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Widzę, że nie może pan zasnąć - powiedział. - Może światło przeszkadza?

- Nie, proszę się nie przejmować.. Proszę czytać, nie chce mi się właściwie spać... A pan, jak widzę, zajmuje się matematyką?

- Nno... właściwie tak... - zmieszał się nieco. - Może raczej fizyką teoretyczną, teraz trudno te dziedziny ściśle rozgraniczyć, szczególnie w niektórych specjalnościach... Pan może...?

- Owszem, trochę - uśmiechnąłem się. O tyle, o ile jest mi to potrzebne w moim zawodzie. Pracuję w IBK, w biurze konstrukcyjnym.

- Naprawdę? - wykrzyknął z ożywieniem, jakby go ta wiadomość niezmiernie uradowała. - Pan pracuje w Instytucie Badań Kosmicznych? A to dopiero zbieg okoliczności! Właśnie tam jadę! Proszę sobie wyobrazić, że dziś zakończyłem pracę nad kapitalną teorią, która pozo-staje w ścisłym związku z badaniami Instytutu... Przepraszam, nie przedstawiłem się dotychczas... Jerzy Ferenc, magister fizyki.

- Robert Melis, inżynier-kosmik - przedstawiłem się i ja, ściskając wyciągniętą ku mnie dłoń i usiłując bezskutecznie powiązać usłyszane nazwisko z którąś ze znanych mi publikacji fachowych.

- Otóż, jak powiedziałem, moja teoria daje wprost fantastyczne możliwości w zakresie podróży kosmicznych...

- Może coś z dziedziny napędów fotonowych? - zapytałem z zainteresowaniem, gdyż to właśnie było tematem mojej ostatniej pracy teoretycznej.

Zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

- Nie, nie! Zupełnie coś innego, nowego. Inne podejście... Moja teoria dotyczy Metody Kontaktu Hiperprzestrzennego i opiera się na pewnym interesującym acz nie docenianym dotąd zjawisku topologicznym. Czy orientuje się pan nieco w topologii?

- Przyznam się, że poza definicją i kilkoma pojęciami niewiele wiem o tej gałęzi matematyki. Pan rozumie: specjalizacja! - powiedziałem tonem usprawiedliwienia.

- Rozumiem... Ale to nic nie szkodzi. Postaram się, o ile to możliwe, wyjaśnić poglądowo, o co chodzi.

Przymknął oczy i podparł czoło dłonią, namyślając się widocznie, od czego zacząć.

- Czy wie pan, co to jest „wstęga Möbiusa”? - zapytał po chwili, rzucając na mnie bystre spojrzenie. - Nie wie pan, prawda, pan nie zna topologii...

Przerwał i sięgnął do swoich papierów. Odszukał czystą kartkę, potem zdjął walizkę z półki i wydobył stamtąd żyletką odciął z brzegu arkusza wąski pasek, długi na jakieś dwadzieścia pięć centymetrów.

- Jeśli ten pasek skleimy w ten sposób pokazywał - to otrzymamy po prostu zwykły pierścień czy raczej boczną powierzchnię bardzo niskiego walca; jeśli natomiast jedną z krawędzi przed sklejeniem odwrócimy „na drugą stronę”, czyli skróćmy o 180 stopni, o, tak - skróćmy taśmę o pół obrotu - i teraz dopiero spojmy brzegi, to otrzymamy właśnie wstęgę Möbiusa. Proszę zauważyć, że taka wstęga posiada tylko jedną powierzchnię, jedną stronę...

- Jak to? - spytałem ze zdumieniem, nie bardzo rozumiejąc, co ma na myśli. - Przecież papier ma dwie strony?!

- Papier owszem... - odpowiedział cierpliwie. - Ale proszę sobie wyobrazić, założyć, że jest on nieskończenie cienki jak abstrakcyjny twór geometryczny, który nazywamy płaszczyzną...

- To niczego nie zmieni! - oponowałem. Zawsze będą dwie strony, zawsze można spojrzeć na to od tej lub od tamtej strony...

- Tu nie chodzi o to, z której strony się patrzy... - uśmiechnął się Ferenc. - Nie mam, niestety, kleju...

- Powinienem gdzieś mieć podgumowaną taśmę do oklejania rysunków technicznych powiedziałem szukając po kieszeniach. - O, jest, proszę!

- Świetnie - ucieszył się Ferenc, sklejąc końce paska. - A teraz proszę wziąć ołówek i przejechać nim po taśmie, poczynając od dowolnego punktu, zawsze równoległe do obu brzegów papieru, nie przekraczając żadnego z nich.

- Rzeczywiście! - zdziwiłem się, stwierdziwszy, że ołówek powrócił dokładnie tam, skąd wyruszył. - To zadziwiające: Obszedłem obie strony papieru! Kreska ciągnie się po obu stronach taśmy...

- Po jednej stronie, proszę pana. Drugiej strony taśma nie posiada!

- Na to wygląda... - odparłem niepewnie. Ferenc z zadowoleniem prestidigitatora, któremu udał się efektowny trik, spoglądał na mnie z ukosa, bawiąc się moim zdumieniem.

- Widzi pan zatem, że zupełnie możliwe jest skonstruowanie powierzchni jednostronnej. Co by pan teraz powiedział, gdybym zaproponował następujący model Wszechświata: żyjemy na takiej właśnie „powierzchni jednostronnej”; aby dostać się do punktu maksymalnie odległego, czyli popularnie mówiąc na „drugi koniec” Wszechświata,

musimy odbyć długą podróż wzdłuż taśmy. A przecież w rezultacie znajdziemy się jakby w tym samym punkcie, bo od punktu wyjścia oddzielać nas będzie jedynie papier, o którym wszak założyliśmy, że jest nie-skończenie cienki. Tak więc praktycznie znajdziemy się znów w tym samym miejscu! Wszechświat niejako „zazębia się” sam ze sobą, a każdy jego punkt ma podwójne znaczenie, znaczenie d w ó c h punktów tej samej po-wierzchni jednostronnej! Aby znaleźć się „na drugim końcu” Wszechświata, wystarczy tylko „przebić” nieskończenie cienką łupinę...

- Więc w praktyce... znajdujemy się w dwóch miejscach równocześnie?

- O nie! To znaczy... tak, ale tylko wirtualnie. Realny Wszechświat nie jest przecież matematyczną abstrakcją... Nieskończenie cienką łupinę należałoby fizycznie interpretować raczej jako coś analogicznego do „łuski magnetycznej” w sensie elektrodynamicznym... To oczywiście przenośnia, bo tu chodzi o coś zgoła innego... Ale model jest dobry: taka „łuska” ma pewien moment dipolowy, określoną polaryzację... Rozumie pan? Aby dokonać ZWARCIA hiperprzestrzennego, to znaczy, aby przeskoczyć do punktu sprzężonego z danym, do tego „po drugiej stronie”, należy jakby zmienić polaryzację obiektu na przeciwną. To nie jest, oczywiście, takie przejrzyste. Model, który panu przedstawiłem, dotyczy jedynie dwuwymiarowej przestrzeni, podczas gdy nasz Wszechświat jest trójwymiarowy, jeśli oczywiście pozostawimy na boku kwestię czasu i rozpatrujemy problem quasi-statycznie.

Uogólnienie powierzchni Mobiusa na przestrzeń, którą kiedyś, być może, nazywać się będzie „przestrzenią Ferenca”, nie przedstawia jednak tak beznadziejnego problemu teoretycznego, jak mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka. Zrobiłem to i powiem panu, że wnioski, jakie stąd wysnułem, pozostają w zaskakującej zgodności z ogólną teorią względności i termodynamiką probabilistyczną. Natomiast praktyczne rozwiązanie metody kontaktu hiperprzestrzennego przysporzyło mi sporo kłopotów, z których jednak udało mi się wybrnąć w sposób nadszpedzanie prosty...

- I sądzi pan, że... człowiek... mógłby tą metodą przenieść się w odległe rejony Wszechświata?

- Bez wątplenia mógłby! Tylko, niestety, nie zawsze jest to bezpieczne... Nie wiadomo przecież tak od razu, co znajduje się tam, „po drugiej stronie”, jeśli tak można obrazowo powiedzieć o jednostronnym obszarze. Ryzykant, który odważyłby się na tego rodzaju wyprawę, mógłby źle skończyć...

Spojrzałem na niego pytająco. Uśmiechnął się blado.

- Niech pan nie myśli, że to ryzyko dyskwalifikuje praktyczne zastosowanie mojego odkrycia! Należy sobie przede wszystkim zdać sprawę z rodzaju niebezpieczeństwa: otóż

niech pan sobie wyobrazi, że w miejscu, które odpowiada punktowi pańskiego startu, w punkcie „ferencowsko-sprzężonym” z danym, znajduje się na przykład jakaś chmura pyłu kosmicznego albo, co gorsza, jądro jakiejś galaktyki czy po prostu gwiazda! Nie wie pan o tym a p r i o r i, podróż staje się podróżą w nieznane, a więc rzeczą nader niebezpieczną. Istnieje jednak, jak się okazało, sposób rozpoznania warunków panujących w punkcie sprzężonym za pomocą sondowania hiperprzestrzennego...

Ferenc zamilkł i zamyślił się. Po chwili milczenia przypomniał sobie widocznie o moim istnieniu i powiedział jakby z zażenowaniem:

- Przepraszam pana... Myślałem właśnie o moim ostatnim eksperymencie.

- Z sondowaniem - podchwyciłem zaciekawiony.

- Coś w tym rodzaju. W każdym razie to ważny element umożliwiający zastosowanie mego odkrycia. Polega na transplatacji spolaryzowanych dipoli magnetycznych... ach, przepraszam, zaczynam mówić językiem, którego pan zapewne nie rozumie... ale wybaczy mi pan, wszystko to jest nawet dla mnie tak niesamowicie skomplikowane, że trudno posłużyć się prostym językiem, by to przekazać. Chwilami sam nie mogę uwierzyć w realność całej historii... Wie pan, sam boję się, naprawdę boję się skutków swego dzieła! Bo proszę sobie wyobrazić, że spowoduje ono całkowity przewrót, rewolucję w komunikacji międzygalaktycznej. Cóż powiedzą na to specjaliści od rakiet relatywistycznych, tacy jak pan na przykład, którzy całe niemal życie poświęcili na konstruowanie pojazdu umożliwiającego osiągnięcie jak najdalszych okolic Wszechświata. A po zastosowaniu mojej metody - jakże prostej w swej istocie i łatwej stosunkowo w eksploatacji - osiąga się najdalszy z możliwych punktów Wszechświata, i to w czasie nieskończenie krótkim! Doprawdy waham się, czy mam opublikować moje prace... Jadę właśnie do Birhoffa, którego pan niewątpliwie zna, to przecież obecnie największy autorytet w dziedzinie podróży międzygwiazdnych. Ale jakże ubogie są dotychczasowe osiągnięcia na tym polu: kilkanaście mniej lub bardziej rozsądnych prac teoretycznych, reszta - to plewy... Ani jednego praktycznego rozwiązania, żadnej udanej konstrukcji! A przy tym nie zanosi się na istotny postęp w ciągu najbliższych dziesiątków lat... Po prostu ślepy zaułek. Klasyczne metody, sposób myślenia sprzed pół wieku. Czy mogę dać im wszystkim do ręki to, czego szukają od wielu dziesięcioleci inną metodą i bez większej nadziei znalezienia? Obawiam się, że mogą potraktować mnie jak szaleńca, fanatyka czy maniaka... Dlatego zależy mi bardzo na pańskiej opinii o tym moim... szaleństwie.

- Sądzę - powiedziałem powoli - że zbyt mało wiem o całej sprawie, by wyrokować o słuszności pańskiej metody...

- Toteż nie chodzi mi wcale o pańskie zdanie o tej metodzie... - przerwał mi niecierpliwie - ...bez wątpienia dobrej i skutecznej, jestem o tym przekonany. Chodzi o rzecz bardziej ogólną, o... konsekwencje jej rozpowszechnienia. Jak już wspomniałem, prostota jej jest zaskakująca w porównaniu z matematycznym gąszczem, jaki do niej prowadzi. Niemal każdy we własnym zakresie, bez skomplikowanej i kosztownej aparatury, za pomocą czegoś, co nazwać by można „mostkiem” lub raczej „kładką hiperprzestrzenną”, mógłby przenieść się tam w dowolnej chwili i z dowolnego miejsca!

- Powiedział pan przecież, że taka wyprawa kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo! Nie wiadomo, dokąd się trafi, jaki „antypunkt” odpowiada naszej Ziemi!

- Nie wiadomo było jeszcze do wczoraj. Mój wczorajszy eksperyment wykazał rzecz niewiarygodną! Proszę sobie wyobrazić, że naszej Ziemi odpowiada antypunkt, w którym znajduje się... planeta, i to zamieszkała przez istoty rozumne! Ich cywilizacja jest o wiele starsza i lepiej rozwinięta od naszej. Wyniki moich sondowań są bardzo ubogie i fragmentaryczne, ale to, o czym mówię, stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość. Nie jestem w stanie dać odpowiedzi na wiele jeszcze pytań, które nasuwają mi się, podobnie zresztą jak i panu, w tej chwili... A pierwsze i najważniejsze z nich, na które nie potrafi pan sobie odpowiedzieć, brzmi: „Czy tej człowiek jest wariatem, a może tylko nieszkodliwym maniakiem?” Chodzi tu oczywiście o mnie!

Treść moich myśli odczytał tak trafnie, że nie zdobyłem się nawet na grzecznościowe zaprzeczenie. Widocznie nie miał mi tego za złe, bo po chwili ciągnął dalej:

- Niemniej jednak faktem jest istnienie tej planety, a fakt ten tłumaczy wiele nie wyjaśnionych dotąd zjawisk, które nie mieściły się w ramach naszych pojęć naukowych. Wystarczy założyć, że istoty zamieszkujące ten sprzężony z naszym światem znają już od dość dawna metodę kontaktu hiperprzestrzennego... Założenie takie podważa co prawda moje pierwszeństwo w tej dziedzinie nauki, daje jednak w efekcie tak niebywałe wnioski, że warto, doprawdy, poświęcić prymat... Wystarczy wspomnieć, że w prosty sposób pozwala to wyjaśnić zagadkę zaginionych kultur starożytności, jak i problem „latających talerzy”! Wszystko to da się wytłumaczyć ingerencją istot, których istnienie potrafię już dziś wykazać... Czy teraz pojmuje pan całą doniosłość mojego odkrycia?

- Jeśli to prawda - powiedziałem oszołomiony - to publikacja pańskich prac może grozić... masowymi wycieczkami do tamtego świata, a nie wiadomo, czy jego mieszkańcy życzą sobie tego!

Spojrzał jakoś dziwnie i skurczył się w kącie przedziału.

- Więc i pan... tak sądzi?

- O ile kontakt jest tak dostępny i łatwy dla każdego...

- Tak, tak... Niestety tak jest... I dlatego przechowuję moje prace w ścisłej tajemnicy, wynalazłem nawet specjalną symbolikę matematyczną, której nikt oprócz mnie nie jest w stanie rozszyfrować... Te notatki! - wskazał na plik papierów - zapisane są tą właśnie symboliką. Resztę materiałów zniszczyłem przed wyjazdem z domu. Ostrożność nigdy nie zawadzi. Tak więc jestem jedynym człowiekiem, który zna tajemnicę...

Przestał mówić, spojrzenie przygasło mu, twarz poszarzała jakby. W sposób zupełnie nieokreślony machnął ręką, mruknął coś do siebie i zgarnął papiery do kartonowej teczki, której tasemki zawiązał starannie na kokardkę. Teczkę wsunął niedbale na półkę, gdzie leżała jego walizka. Założył ręce w tył i stał przez chwilę na wprost ciemnego okna, za którym przemykały pojedyncze światełka mijanych sygnałów.

„Człowiek, Który Przedziurawił Przestrzeń” - nazwałem go sobie w myślach, nie wiedząc wciąż, jak mam traktować jego wywody. W określeniu tym było coś z Wellsa, coś z na wpół ironicznych, na wpół groźnych opowieści przy ko-minku...

Ferenc zaczął nagle przechadzać się w ograniczonej przestrzeni między ławkami przedziału. Z rękami założonymi z tyłu, z głową opuszczoną dreptał tam i z powrotem szybkimi, nerwowymi kroczkami. Czasem zagłębiał długie palce w opadających włosach, przystawał znieruchomiały, by po chwili ruszyć znowu w tę wahadłową przechadzkę. Machinalnie wydobył z kieszeni paczkę papierosów i nie częstując mnie zapalił.

Nagle szarpnięcie hamującego pociągu wgniotło mnie w materac kanapy. Zdołałem zauważyć, jak Ferenc usiłuje złapać się półki i wali się na stolik, uderzając głową w ścianę. Drugie szarpnięcie rzuciło mną w bok. Głowa trafiła w szybę, dzielącą przedział od korytarza...

Nade mną pochyliła się biała postać. Po chwili dopiero rozpoznałem rysy twarzy młodej pielęgniarki.

- Już wszystko w porządku! - powiedziała uspokajająco i łagodnie. - Czy boli pana?

- Trochę, głowa i... Ale można wytrzymać... Co się stało?

- Katastrofa kolejowa... Przypomina pan sobie, że jechał pan pociągiem?

- Tak... To pamiętam... - powiedziałem myśląc z wysiłkiem. - Ze mną w przedziale jechał pewien pan... Co z nim? Czy wyszedł z tego cało?

Twarz pielęgniarki przybrała wyraz zakłopotania.

- Czy to był ktoś z pana bliskich?

- Nie... Tylko przygodny towarzysz podróży. Czy wyszedł z tego cało?

- Niestety! Muszę pana zmartwić. On umarł. W pół godziny po przewiezieniu do szpitala.

Wstrząs mózgu... Przed śmiercią odzyskał na chwilę przytomność, a potem bredził okropnie. O jakimś... hiperkontakcie, o teczce, walizce... Ale niech pan leży! Nie wolno się poruszać, ma pan zszytą skórę na głowie! - Ostatnie słowa były spowodowane moim gwałtownym poruszeniem.

- Siostro! - zawołałem. - Gdzie jest ta walizka?

- Pańskie rzeczy są w depozycie, proszę nie martwić się o nie!

- Nie, nie! J e g o walizka! Gdzie ona jest? - Ależ... - oczy pielęgniarki wyokrągliło zdziwienie - on nie miał żadnej walizki! W przedziale była tylko pańska, brązowa, z przyczepioną wizytówką... Wiem to na pewno, bo weszłam tam zaraz za lekarzem, gdy tylko udało się otworzyć przedział. Wszystko zabraliśmy do karetki razem z wami!

- Więc nie ma... tej walizki... - powiedziałem słabo, czując zawrót głowy. - To ONI, oni ukradli... te... notatki... Hiperprzestrzenie ukradli, żeby nikt... - Znow bezwiednie uniosłem głowę z poduszki.

Opadłem na posłanie, bo w oczach mi poszarzało. Zamknąłem je i zobaczyłem wyraźnie twarz Ferenca. Po chwili obraz ten rozmazał się, przybierając - kształt wstęgi Mobiusa. Wkrótce i to widziadło rozplynęło się w majaczeniach gorączkowego snu...